№ 11. Warszawa, dnia 14 (2) Marca 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie **rs. 2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

PODATEK OD PRZEMYSŁU I HANDLU.

Reforma systemu podatkowego w państwie rosyjskiem postanowioną została oddawna a nawet wytkniętą w określonym kierunku i opracowaną w niektórych szczegółach.

Wadliwość dzisiejszego sposobu opodatkowania znalazła surową i słuszną ocenę zarówno w głosach opinii publicznej, jak i w oświadczeniach rządowych. Budżet państwowy Rosyi opiera się przeważnie na podatkach pośrednich, cłach i akcyzie, spadając całym ciężarem na klasy pracujące; jedyna poważna cyfra podatków bezpośrednich, t. z. *poduszne*, obarcza również tylko najuboższe warstwy narodu. Inne klasy w Cesarstwie płacą skarbowi bardzo niewiele. Z drugiej strony opłaty ziemskie, jakkolwiek noszą charakter wszechstanowy, w znacznej bardzo części dotyczą tylko rolników. W Królestwie znowu ciężar podatkowy spada na rolnictwo prawie wyłącznie i już bez różnicy pomiędzy wielką i małą własnością.

Nienormalny ten stan rzeczy zwrócił na siebie uwagę rządu. Konieczność zmiany była i jest widoczną. Wyraża się ona w dwóch kierunkach: w ulżeniu ciężarów podatkowych dla klas pracujących i zmniejszeniu opłat obarczających rolnictwo. Osiągnięcie tego celu możliwem jest jedynie przez równomierne opodatkowanie wszystkich klas społeczeńswa i przeniesienie części brzemienia fiskalnego z rolnictwa na inne kategorye zajęć. Niepewny jednak stan finansów, a nadto obawa powiększenia i tak już znacznych niedoborów budżetu, pomimo uznania w zasadzie naglącej potrzeby reform, czynią w wykonaniu ich ministeryum skarbu ostrożnem. Chociaż więc podatek dochodowy został postanowiony, wprowadzenie go uznane zostało za zbyt wczesne; zdecydowano więc reformę podatkową urzeczywistniać częściowo, usuwając najbardziej dotkliwe ciężary ekonomiczne i wprowadzając nowe, słuszniejsze sposoby.

Taka polityka finansowa posiada na swoją obronę spory zapas rozumnych argumentów, szkoda tylko, że w rzeczywistości jej skutki są jeszcze bardzo nieznaczne. Wynika to z tego powodu, że równowaga budżetowa z trudnością daje się osiągnąć i nowe podatki zamiast iść na ulżenie nadmiernych ciężarów, nieraz służyć muszą dla zapełnienia luki w dochodach, dla usunięcia deficytu. Bądź co bądź jednak, zniesienie akcyzy od soli, stopniowe zmniejszanie „podusznego" itp. reformy, zasługujące na uznanie — zostały już dokonane. Na pokrycie wytworzonych w skutek tego niedoborów wprowadzono nowe podatki, które wszakże w znacznej części — jak np. podatek od biletów kolejowych lub nowe opłaty stemplowe — noszą cechę wyłącznie fiskalną i bynajmniej nie wpływają na słuszniejsze ustosunkowanie ponoszonych przez ogół ludności ciężarów. Nowy podatek od przemysłu i handlu dotyczy tych rodzajów zajęć, które uważać się mogły jako uprzywilejowane pod względem fiskalnym, i zasługiwałby na zupełną pochwałę gdyby otrzymany w ten sposób dochód, chociaż w części użytym został na zmniejszenie opłat ponoszonych np. przez rolnictwo. W istocie swej jest on podatkiem dochodowym, ale ta okoliczność, że wprowadzony został oddzielnie, nie jako część ogólnej reformy finansowej, zmiejsza jego zalety, zachodzi może bowiem obawa, iż w rezultacie ciężar jego spadnie na barki robotników—w formie zniżenia płacy, i ogółu konsumentów—przez podniesienie ceny towarów.

Na mocy nowych przepisów z d. 27 stycznia 1885 r. wszystkie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, opłacające należności gildyjne, wnoszą oprócz tego opłatę dodatkową, procentową lub rozkładową.

Dodatkowej opłacie procentowej podlegają towarzystwa akcyjne, spółki udziało-

we itp. tj. przedsiębiorstwa, których czysty dochód z łatwością może być obliczonym na podstawie rocznych sprawozdań. Płacą one 3% od czystego dochodu. Inne przedsiębiorstwa wnoszą dodatkową opłatę rozkładową, której suma wyznacza się na każdą gubernię w porządku ustawodawczym na lat trzy i następnie rozdziela się wewnątrz guberni na zasadach szczegółowo określonych.

Dla rozstrzygnięcia nastręczających się wątpliwości przy departamencie handlu i rękodzieł utworzono oddzielne biuro, pod prezydencyą dyrektora departamentu. W skład jego wchodzą urzędnicy państwowi, oraz osoby wybrane przez radę handlu i rękodzieł, przedstawiciele lub prezesi zarządów ziemskiego i miejskiego petersburskiego, tamtejszego zarządu kupieckiego i komitetu giełdowego.

Sposoby rozłożenia i pobierania opłaty opierają się nie na deklaracyach osób opodatkowanych — jak np. w Anglii i Włoszech, ale zbliżają się raczej do urządzeń niemieckich. W każdej gubernii znajdować się będzie biuro podatkowe pod przewodnictwem zarządzającego Izbą skarbową, złożone z członków ogólnego jej biura i sześciu osób opłacających gildyjne należności od przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, wybranych na lat trzy, w równej liczbie przez gubernialne zebranie ziemskie, zarząd miasta gubernialnego i miejscowe zgromadzenie kupieckie. Biuro gubernialne, przypadającą dla gubernii sumę, rozdziela na pojedyncze powiaty, w których utworzone będą osobne biura powiatowe z przewodniczącym, wyznaczonym przez zarządzającego Izbą skarbową, i sześciu członkami, mianowanymi przez powiatowe zebranie ziemskie oraz miejscowe: zarząd miejski i zgromadzenie kupieckie.

W stolicach i znacznych miastach, tworzą się oddzielne biura podatkowe według uznania ministra skarbu, pod prezydencyą wyznaczonej przezeń osoby, składające się z 6 członków wybranych przez zarząd miejski, zgromadzenia kupieckie i giełdowe.

W guberniach, gdzie nie zostały wprowadzone urządzenia ziemskie i ustawa miejska członków biur podatkowych, w zamian wybieranych przez ziemstwa i zarządy miejskie, mianuje gubernator po porozumieniu z zarządzającym Izbą skarbową z grona osób, odpowiadających powyżej wskazanym warunkom, tj. opłacających należności gildyjne.

W Królestwie więc, ponieważ prawo go nie wyosabia, liczba członków z wyboru będzie nieznaczną. Warszawa prawdopodobnie zaliczoną zostanie do tych miast, w których funkcyonować będą oddzielne biura podatkowe.

Powiatowe biura rozdzielają sumę opłaty na pojedyncze przedsiębiorstwa, które wrazie niepomyślnego stanu interesów mogą być zwolnione od opłaty rozkładowej, ale suma jej nie może być nigdy mniejszą i rozkłada się pomiędzy pozostałych kontrybuentów.

Inne artykuły przepisów dotyczą szczegółowo zawiadamiania o terminie i wysokości opłaty i określają, w jaki sposób należy bronić się przeciw niesprawiedliwemu rozkładowi podatku.

Sposoby wyznaczenia i pobierania opłaty dodatkowej i potrącania podlegających opłacie procentowej zysków, określenie czynności biur podatkowych, jako też rachunkowości i sprawozdań rocznych wyrażone będą w instrukcyi wydanej przez ministra skarbu.

Opłata rozkładowa wnosi się do kas państwowych najpóźniej 1 czerwca. Podanie skargi nie wstrzymuje uiszczenia wyznaczonej sumy poborowej. Zarządy zaś spółek udziałowych i towarzystw akcyjnych obowiązane są w ciągu miesiąca po zatwierdzeniu bilansu rocznego przez zgromadzenie ogólne przedstawić ten rachunek wraz z protokółem ogólnego zebrania do gubernialnego biura podatkowego, jednocześnie zaś wnieść do kasy przypadającą opłatę procentową. W razie nieprawidłowego obliczenia niedobór winien być natychmiast pokryty, przewyżka zaś zalicza się na rok następny lub na żądanie zwraca się. Za niewniesienie we właściwym czasie opłaty dodatkowej procentowej lub rozkładowej, również za nieprzedstawienie w oznaczonym terminie rachunków rocznych nieakuratnym płatnikom grozi kara pieniężna.

Dodać należy, że z ogólnej sumy opłaty rozkładowej wynoszącej 2,558,000 przypada na Królestwo 224,000 rs. a mianowicie na gubernię warszawską 91, kaliską 10, kielecką 8, łomżyńską 4, lubelską 10, piotrkowską 78, płocką 5, radomską 8 wreszcie suwalską i siedlecką po 5 tysięcy rubli.

Ile wynosić będzie opłata procentowa w przybliżeniu nawet obliczyć się nieda.

L.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, luty, 1885.

Pigeon o Bismarku. — Pamiętniki Micheleta berlińskiego.—Jeszcze raz Hartmann i *Zagubione sumienie.*— Książka Santagaty. — Karpeles o Odyńcu. — Przekłady powieści T. T. Jeża. — Mierzwiński. — K. Turski.

Do morza, albo raczej potopu książek, broszur, wierszy, panegiryków i paszkwilów, zajmujących się kanclerzem niemieckim, przybywa nowa kropla z Francyi. Pan Pigeon świeżo ogłosił pisemko *L'Allemagne et Mr. de Bismark,* w formie listu z Paryża. Spokojnie i płynnie napisana ta książeczka zawiera wrażenia autora, który był w Berlinie i w siedzibie wiejskiej księcia, przypatrywał się mu zbliska, widział (lub zdało mu się, że widział), jak za ukazaniem się jego w sejmie bledli jego przeciwnicy, doświadczał wrażenia *niezmierności* na widok wyniosłej jego postawy itd., ale o spisywanym przez siebie mężem w żadnych stosunkach osobistych nie zostawał. Niemcy z ciekawością czytają i komentują ten portret, jak go sam autor nazywa, bo zajmuje ich wrażenie cudzoziemca i to francuza, doznawane na widok tak imponującej im osobistości. Czy jednak przyszły historyk choć źdźbło wątku dziejowego z tego obrazka wyciśnie, o tem wątpić się godzi.

Że głośny kanclerz studyował za młodu po uniwersytetach niemieckich, o tem wszyscy biografowie piszą, wymieniając Berlin, Gietyngę itd. jako miejsca nauki

Ojciec Emanuel

przez

P. K. Roseggera.

III.

Ale ojciec Emanuel pozostawał w pustyni, a w dni spokojne i samotne budziło się w nim uczucie podobne do próżni sercowej i posuchy duszy. Księgi jego wprawdzie były nadzwyczaj budujące i nauk pełne, lecz nie wystarczały mu. Ogrodu założyć tu nie było można, drzewa i kwiaty hodować było niepodobieństwem. Choć tu i owdzie niebiesko-czerwona kwitła koniczyna górska, lub wyrósł biały kwiatek paniciński, albo na urwiskach świetniały róże alpejskie — wszystko to trwało przez krótki czas tylko. Własną ręką wykopał z korzeniem śnieżno-białą lilię skalną, postawił ją w pokoiku swoim u okna i pieścił czule. Potem przybrał jeszcze niebieski dzwonek alpejski, aby miłośnie dzwonił na cześć lilii. Niestety! wątłe te dzieci flory zmarły przed czasem śmiercią gwałtowną i to pod ręką skrzętnej gospodyni. I dobrze, że się tak stało, pomyślał Emanuel, los mój nie przemawia językiem kwiatów.

Potem wychodził z motyką i poprawiał stromą ścieżynę, wiodącą pod górę do kościoła, odsuwał kamienie i kopał rowy. W miejscach niebezpiecznych szersze urządzał kładki i zaopatrywał je baryerkami. Co kilkadziesiąt kroków wbijał pale w ziemię, aby, na wypadek nagłej zamieci śnieżnej, można było odnaleźć drogę. Usiłował też wykopać studnię, ale mu się to nie udało. Wodę, jaką pili na górze, trzeba było nosić z miejscowości na godzinę przeszło odległej; spływała ona z lodowców przez głęboką szczelinę skalną. Co trzeci dzień przychodził posłaniec z dołu i przynosił artykuły żywności i gazety. Żywność doręczał pannie Gertrudzie, dzienniki — ojcu. W dziennikach pisano o widowiskach i o wypadkach politycznych, i co o nich myślą ludzie. Pozostawała po nich taka próżnia, jak po książkach łacińskich, które leżały na pulpicie.

Cóż tu miał począć młody, pełen energii mężczyzna? Raz po raz wychodził i przyglądał się naturze. Słyszał obrywanie się odłamów skalnych, huk lawin śnieżnych, a po za szczerbatemi ryfami widział białe z kurzu obłoki. Na szczytach najwyższych wisiały chorągwie mglisto, a obok nich leżał wieczny pancerz nierozpuszczalnego lodu. „Wieczny" pancerz! Czyliż jemu, Emanuelowi, gdy zdrzemnął się raz nad książką geologiczną, nie śniło się, że na wyżynach, gdzie spoczywają lodowce, przepyszny wyrasta las, las roślin podzwrotnikowych, fig i drzew pomarańczowych, palm i cyprysów? Że nieco głębiej zaś fale uderzały o skały, a w otchłaniach strasznych, gdzie dziś zagrożono szarzeją lasy jodłowe, jakoby gnieździły się bajeczne potwory morskie?

Dziwny to był sen, którego przy pomocy księgi ksiąg, Biblii, wytłómaczyć nie było podobna.

Pewnego dnia Emanuel z wielkim trudem i niebezpieczeństwem po drodze kóz dzikich wdrapał się na górę ku szczytom, skąd widział schronisko swoje głęboko w dolinie, chociaż ono położone było na górze siedm tysięcy stóp wysokiej. Po za szczytami tymi zaczynały się puszcze pól nieprzejrzanych. Niby całe z kości rozciągały się tu skały wapienne; ogromne zbiorowiska kamieni zrośniętych z sobą, od wilgoci stępiałych, wydrążonych, bruzdami pooranych i zwietrzałych. Szczeliny, ścieki, otwory, kanały i jaskinie o kształtach najdziwaczniejszych; wszystkie części ziemie spłukane. Ale w szczelinach tych i zagłębieniach, tu i owdzie stała czarna woda, przez żadną istotę żyjącą nie zamieszkana. Pochodziła ona z gór lub lodowników i jeszcze nie znalazła sobie ujścia, pokładu, przez który na podobieństwo innych wód mogłaby się przedostać do wnętrza gór, sączyć się tam, spadać i po urwiskach na dole wśród przepaści znów wypłynąć, jako źródło lub zdrój i wodospad. Musiała czekać, aż przyszedł wiatr i wysuszył ją, lub ściął mróz. Nie spodziewał że się podobnego losu młody ksiądz na górze „w nędzy?"

Gdy z tych wyżyn martwych i ponurych Emanuel spojrzał na kościołek, strach strzelił mu przez wszystkie nerwy. Po białej piaszczystej drożynie, wiodącej do miejsca odpustowego, pełzał i falował długi, brunatny, stunogi robak z czerwonym

jego. Ale czy chodził na prelekcye regularnie, czego i ile się nauczył, tego nikt z pewnością nie twierdzi, a teorye historyozoficzne i ekonomiczne, których próbki w mowach jego od czasu do czasu słyszymy, nie zdają się świadczyć o głębszem ukształceniu teoretycznem. Szczególnie co do etyki umysł księcia wygląda jakoby był w stanie zupełnego nierozwinięcia, albo, co gorsza, jakby się ukształtował na pojęciach, niemających nic wspólnego z nowożytnym jej kierunkiem.

W świeżo ogłoszonych pamiętnikach „ostatniego heglisty," profesora berlińskiego Micheleta, znajdujemy wzmiankę o uczniach jego, którzy z czasem pozajmowali wyższe stanowiska polityczne; są tam nazwiska kilku późniejszych ministrów, jest i Bismarka imię, ale z dodatkiem, że *jakoby* na jednym czy dwóch tylko wykładach był obecnym. Nie dziwię się temu, dodaje Michelet: gdyby późniejszy Cavour niemiecki mnie porządnie słuchał, byłby innym, niż jest. Nie dziwmy się i my Micheletowi, że nie oddaje czci bałwochwalczej Bismarkowi, wraz z całą gawiedzią niemiecką: ośmdziesięcioletni ten filozof wytrwał przez całe życie w zasadach szczerze liberalnych, z czego się pyszni w „Prawdzie z żywota mojego" — taki tytuł pamiętnikom swym nadał *).

Zajmujące są one i to z wielu względów. Malują żywot cichy, pracowity, oddany najbardziej abstrakcyjnej nauce, a mimo to pełny wstrząśnień i zajść, religijnych, politycznych, literackich, społecznych, lecz w miniaturze, niby burz w szklance wody. Z pochodzenia francuz i to hugonota, odziedziczył Michelet pewną nieugiętość charakteru i zasad, oraz miłość wolności, które go przez cały żywot nie odstępowały. W szeregu też uczniów Hegla zajął stanowisko po skrajnej lewicy, prawie radykalne. Chociaż z przekonań patryota niemiec, nie zapomniał nigdy, że przedewszystkiem był człowiekiem i myślicielem i nie zaparł się wniosków, snując zasady, jak to czynią niektórzy filozofowie od artyleryi, w rodzaju p. Hartmanna.

W jednym z ostatnich rozdziałów pamiętnika swojego usiłuje on odmalować własny temperament i charakter, nie ukrywając jednak przed sobą niepokonanej prawie trudności takiego zadania. Wierząc, iż usposobienia — tym wyrazem oddać chcę połączenie temperamentu z charakterem— bywają czworakie: krewkie, rozmarzone, żółciowe i powolne (czyli, jak zwykle je nazywają: sangwiniczne, melancholiczne, choleryczne i flegmatyczne), myśli on, że każdy człowiek, normalnie się rozwijający, przebyć musi w żywocie swoim cztery te stopnie, odpowiadające dzieciństwu, młodości, dojrzałości i starości i na przebiegu własnego życia śledzi rozwój tych okresów.

Najciekawszymi są rozdziały o udziale Micheleta w sprawach politycznych i religijnych jego kraju i czasu. Podnoszę też z ustępu o działalności jego naukowej parę szczegółów, dotyczących filozofa naszego Augusta Cieszkowskiego. W r. 1842 Cieszkowski podał mu myśl założenia towarzystwa filozoficznego w Berlinie, któreby pielęgnowało teoryę Hegla, poddając dyskusyi ważniejsze i bieżące pytania, oraz ogłaszając prace członków. Michelet skwapliwie myśl tę poparł. Cieszkowski miał w Berlinie własny powóz i konie; w grudniu więc tego roku dwaj przyjaciele hegliści objechali wszystkie filozoficzne znakomitości berlińskie, zachęcając do stowarzyszenia się i 5 stycznia 1843 odbyło się pierwsze zgromadzenie „Towarzystwa filozoficznego," które chociaż przebyło różne przejścia, spory, odszczepieństwa, dozór policyjny i tym podobne dolegliwości, przetrwało jednak do dziś dnia i niezawodnie dużo korzyści wiedzy przyniosło. Przed kilku laty, za ostatniej bytności Cieszkowskiego w Berlinie (opowiada M.), na posiedzeniu znalazło się dwóch tylko członków założycieli, Cieszkowski i Michelet; to też na uczcie, po sesyi, Michelet wzniósł toast na zdrowie rodaka naszego i gorącemi słowy zasługi jego wyraził.

W r. 1860, wspólnie z Cieszkowskim, Towarzystwo filozoficzne, a raczej Michelet w jego imieniu, zaczął wydawać czasopismo filozoficzne *Der Gedanke* (myśl), o którem powiada, iż polacy żartobliwie nazywali je „nieszczęśliwą myślą," czyniąc aluzyę do głośnej swojego czasu „filozofii czynu" Cieszkowskiego.

Polakom i Polsce Michelet sprzyjał stale. W kwietniu r. 1852, w *National-Zeitung*, popierał gorąco wniosek Cieszkowskiego, wielokrotnie do sejmu podawany, o założenie uniwersytetu w Poznaniu.

Tak to za lepszych czasów znakomitsi patryoci niemieccy umieli godzić uczucia swe narodowe z poszanowaniem praw bliźniego.

Oczywiście p. Hartmann nie chodził na prelekcye Micheleta. Widać to z nowego jego wystąpienia w *Gegenwart*, w którem oświadcza, iż wymierzenie sprawiedliwości polakom uważałby oddawna za „klęskę europejską," a zmieniając swe poprzednie zdanie, co do aneksyi po Wisłę, której wspaniałomyślnie się zrzekał, teraz już nią nie gardzi, ale obiecuje nam ją dopiero po zgiermanizowaniu Wielkopolski. Dziękujemy i za to, bo kto daje czas, ten daje życie, jak się o tem w tych dniach przekonał pewien skazany na śmierć anglik: gilotyna uparła się i nie chciała działać; skazanego musiano odprowadzić do więzienia, a o wypadku doniesiono ministrowi sprawiedliwości; ten zaliczył trwogę śmiertelną za wymierzenie kary i ułaskawił biedaka. Może i pan H., zważywszy okropne nasze przerażenie po jego zabójczych artykułach, zechce pójść za przykładem owego ministra...

Tuż obok elukubracyi nieżyczliwego nam filozofa, *Gegenwart* zamieściła śliczną powiastkę Szczedryna, p. t. *Zagubione sumienie*. Nie wiem skutkiem jakiego kojarzenia pojęć, ile razy odtąd o Hartmannie wspomnę, zawsze mieszam tytuł ten z jego propagandą i wydaje mi się ona wygłoszoną pod hasłem „zagubionego sumienia."

Jak to ludzie nie jedną miarą mierzą sprawy swoje! We wszystkich czasopismach wysławiają obecnie niemcy pewnego świeżo zmarłego agitatora, który ginącą ideę i narodowość flamandzką w Belgii podnosił słowem, pismem i czynem; nazywają go „stróżem i zbawcą myśli i sprawy niemieckiej" (dlaczego sprawa flamandzka ma być niemiecką, tego nie rozumiem) wśród zalewu romańskiego. Dlaczego flamandów w Belgii wypada budzić i podno-

*) *Wahrheit aus meinem Leben.* Berlin, 1884, str. 548.

---

migającym się płomykiem u czoła. Nie był to przecież smok żaden, żaden mąż cudowny, co wedle podania ongi panował wśród gór, ale tłum pielgrzymów, którzy o kiju i z chorągwiami szli tu po łaskę i zmiłowanie. I to właśnie zastraszyło księdza, gdyż, zamiast każdej chwili oczekiwać pątników u wrót kościelnych, zamiast ich powitać uderzeniem w dzwony i słowem duchownem—on stał na górze stromej i bezludnej a prędko zejść z niej nie mógł.

Kiedy wreszcie po trzech godzinach zmęczony wszedł do kościoła, natrafił na scenę niezmiernie budującą. Przed ołtarzem siedziała Gertruda, stara gospodyni, i trzęsąc głową, pod nosem recytowała psalmy i litanie, w przerwach zaś, gdy lud powtarzał jej słowa, bez ogródki wyrażała oburzenie swoje z powodu ucieczki księdza, który, licho wie, gdzie się włóczy i dzień kradnie Panu Bogu.

Porywające kazanie wieczorne Emanuela sowicie wynagrodziło pielgrzymów za wysłuchanie nabożeństwa starej gospodyni. W kazaniu tem, wypowiedzianem pod gołem niebem, młody ksiądz kazał słuchaczom swoim podnieść wzrok ku wierzchołkom skał, rozpalonym wśród blasku wieczornego. Wszędzie — wołał — czuć obecność Boga, ale tu na górach wyniosłych znajduje się widoma jego świątynia. Alpy, wiecznym lodem pokryte, wysokim są ołtarzem. Urwiska rozżarzone to świeczniki spiżowe, w których goreją płomienie ofiarne. Wody, z szumem spływające ze wszech stron, uzmysławiają niewyczerpane źródła łaski bożej. I dla tego pewnie na tych wyżynach, od gwaru świata oddalonych, człowiek zbudował przybytek święty, bo tu wśród majestatu przyrody wrażliwszym jest na wszystko, co wielkie i wzniosłe, aniżeli na dole wobec powszedniości, i że tylko tam, gdzie serce ludzkie przygotowuje się w skupieniu, zstępuje doń duch i łaska boska.

Nie podobało się to wszakże pannie Gertrudzie, która tego wieczora właśnie sporo wody nalała do mleka ojcu Emanuelowi.

— Niestety! — mruczała — piękne dziś było kazanie o Bogu i górach! Ach, młodzi księża teraźniejsi! Zdaje się im już, że o Pannie Najświętszej nawet mówić nie warto.

IV.

Od owej chwili ojciec Emanuel ściśle przestrzegał, aby w czasie przechadzek swoich nie oddalać się zbytnio od kościoła. Dochodził tylko aż do miejsca, gdzie ostatniej wiosny lawina potrzaskała skały i zniszczyła resztki lasu. Pomiędzy gruzami znalazł koziorożca zmiażdżonego i wiele ptastwa nieżywego. Niekiedy też zstępował do czarnego oka, małego, ciemnego jeziora, które w głębokiej leżało kotlinie. Jakiekolwiek na górach panowały wiatry i nie rzadko szalały wichry, jezioro to zawsze było gładkiem i spokojnem, jak szyba lustrzana. Z pozoru nie miało ono dopływu, ani odpływu. Skoro wrzuciłeś liść lub kawał drzewa, łagodnie rozszerzające się kręgi wodne były jedynem jego poruszeniem; przedmiot pozostawał przez chwilę na równej powierzchni, nagle jednak znikał i już nie pokazał się więcej. Emanuel chętnie zajmował się takiemi obserwacyami, a ze zjawiska znikania przedmiotów wnosił o głębiach i wirach, kryjących się na dnie.

Raz na omszałym brzegu „czarnego oka" znalazł piękny i dziwny fijołek, z którego kielicha drugi wychylał się kwiatek. Fijołek ten wprawił go w głęboką zadumę. W tem nagle szara, jak stal, wyskoczyła żmija, i sycząc wspięła się przed nim, jakby chciała odstraszyć go od kwiatka dwuznacznego. Schwycił ją bez trwogi i obojętnie patrzył, jak wesoło pełzała mu po piersiach i ramionach. Gdy zaś wzajemnie już nacieszyli się do woli, puścił ją. Popędziła do pobliskich zarośli, skąd w tej samej chwili dał się słyszeć krzyk ludzki.

Emanuel zadrżał. Po nad gęstymi, brunatno-zielonymi krzewami kędzierzawa unosiła się głowa; bliżej wpatrzywszy się spostrzegł młodzieńca, po piersi ukrytego w zaroślach. Szare oko jego mrugało, żywo zrumieniona twarz chciała się uśmiechnąć, ale zadrgnął tylko w skutek zmieszania.

Człowiek ten był w stroju górala i miał minę dobroduszną, chociaż i filuterną nieco. Skłonił się przed księdzem.

— Co ty tu robisz? — zawołał ksiądz.

— O, dalibóg nic, dalibóg nic! — odpowiedział mężczyzna z zarośli.

Niefortunne to i niewłaściwe było zaprzeczenie.

sić, a słowian w państwie niemieckiem „ausrotten,“ tego z jednej i tej samej zasady chyba i p. Hartmann nie wydyskutuje. Bo już jeżeli w Niemczech my przedstawiać mamy żywioł mniej ucywilizowany i jako tacy podlegać mamy wytępieniu, to czyż flamandzi belgijscy właśnie w takim samym stosunku nie zostają do żywiołu francuskiego?

Przyjemnie jest zaznaczyć odezwy sprawiedliwsze i życzliwsze o nas, szczególnie gdy pochodzą od osób, których o stronność niema powodu posądzać. Taki głos dochodzi nas z za Alp, z Bolonii. Profesor Santagata, prezes tak zwanej „Akademii Mickiewicza“ tylko co ogłosił tomik p. t. *La Polonia* (Bolonia, 1885, str. 166), zawierający mowy jego, miane na różnych uroczystościach uniwersytetu, archigimnazyum i biblioteki bolońskiej. Nietylko brak miejsca, ale i inne powody wstrzymują mię od podania treści pięknych a sympatycznych słów autora. To nie czcza deklamacya, jaka cechowała dawniej przychylne nam odezwy francuskie i inne: to rozumowanie, oparte na mnóstwie przytoczonych faktów i na umiejętnej ich ocenie. Takich rozumnych a bezstronnych przyjaciół jak Michelet, jak Santagata pragnęlibyśmy jak najwięcej: przeciwważą i przeważają oni ślepą złość szowinistów wszelkiego autoramentu.

Pan Karpelos, którego również zaliczać mamy prawo do znawców wewnętrznego żywota naszego, oraz do rzędu bezstronnych sędziów naszych, ogłosił niedawno w *National-Zeitung* obszerny artykuł o Odyńcu, w którym, oprócz trafnej oceny twórczości jego poetycznej, szczegółowo opisuje Mickiewicza i jego stosunek z Göthem.

Do spisu przekładów z języka polskiego, który w każdym prawie liście moim mam sposobność nowym dodatkiem pomnażać, dodaję dzisiaj, że wkrótce w jednem z czasopism genewskich zacznie wychodzić przekład francuski *Szandora Kowacza* Z. Miłkowskiego. O tłomaczeniu jego *Uskoków* na język nowogrecki pisałem dawniej; dzisiaj dopełniam tę wiadomość wymienieniem nazwiska tłumacza: doktór Kyriakos Chirizzis.

Mierzwiński znowu się popisuje w Frankfurcie nad Menem: wywołuje tam zapał niesłychany; recenzenci teatralni nazywają go bez ogródek pierwszym tenorem na kuli ziemskiej i podnoszą wysokie jego ukształcenie i poczucie muzyczne.

Na zakończenie smutna wiadomość o śmierci jednego z ostatnich filaretów: Ksawerego Turskiego. Znałem od dzieciństwa zacnego i światłego tego człowieka; był naszym sąsiadem i przyjacielem. Wyuczył się doskonale po niemiecku i przełożył później kilka tragedyj Schillera; że zaś był bardzo skromnym, nie wierzył w zalety tłómaczeń swoich, i drukiem nie ogłaszał. Po powrocie do wsi rodzinnej, w powiecie lidzkim, zaprowadził u siebie wzorowe gospodarstwo, a prawością charakteru, oświeconym umysłem i miłem towarzystwem zjednał sobie szacunek powszechny. Czytał i myślał wiele, pisał za mało, pracował gorliwie.

Jan Karłowicz.

NOWA OPERA POLSKA.

Lwów, 28 lutego 1885.

Konrad Wallenrod, opera w 4 aktach (akt 4-ty w 2 obrazach) podług poematu Adama Mickiewicza. Libretto Zyg. Sarneckiego i Wład. Noskowskiego. Muzyka Władysława Żeleńskiego.

Nie pamiętam tak uroczystego nastroju, jaki panował przedwczoraj w teatrze hr. Skarbka. Nareszcie doczekaliśmy się przedstawienia *Konrada Wallenroda* Żeleńskiego, w chwili, kiedy po kilkakrotnych zawodach pessymiści przepowiadali, że z powodu chwilowej choroby primadonny, pani Arklowej, przedstawienie znowu pójdzie w odwłokę, a goście warszawscy i krakowscy chyba pouciekają z powrotem nie ujrzawszy gorąco upragnionego dzieła. Wbrew pessymistom 26 lutego nie odwołano przedstawienia po raz chyba trzeci, lecz zapowiedziano je stanowczo, z tą tylko zmianą, że partyę barytonową (arcykomtur), którą miał śpiewać p. Szaniawski, z powodu choroby jego oddano p. Kiczmanowi. Bliżej wtajemniczeni zapewniają, że ten ostatni dokazał bohaterskiego czynu, nauczywszy się swej partyi w przeciągu 48 godzin.

Nim jednak przystąpię do zdania sprawy z mych wrażeń, wspomnę kilka słów o treści. Znaną jest rzeczą, że libretta oper są z reguły liche (w polskich tłómaczeniach z obcych oper trafia się to jeszcze częściej). W *Konradzie* rzecz była jeszcze trudniejsza, bo słuchacz, znając prześliczny poemat Mickiewicza, jest bardziej wymagający, niż kiedykolwiek. Nie wiem, komu należy przypisać lwią część zasługi, Sarneckiemu czy Noskowskiemu, dość, że słowa pod muzykę zastosowane są bardzo dobre, w wielu miejscach żywcem wzięte z poematu, co oczywiście wartość libretta podnosi. Moglibyśmy rościć sobie pretensyę, że nie ma „Wilii“ „pieśni gminnej,“ że pieśń Wajdeloty zmieniona zupełnie i skrócona znacznie itd.—ale przyznajmy otwarcie, że wymagania te byłyby wygórowane i niesłuszne, a wobec rozmiarów opery w obecnym jej stanie, prawie niepodobne do wykonania. *Konrad* podzielony jest na 4 akty. Pierwszy odbywa się na podwórzu litewskiego zamku. Rycerze litewscy opowiadają o świeżo poniesionej klęsce, żołnierze w chwili rozpaczy posądzają Alfa o zdradę. Gromi ich stary Halban i każe pełnić swą powinność. Gdy się oddalili, rozpamiętywa nad ostatnimi wypadkami:

„Rozstrzygnął dolę naszą wczorajszy bój krwawy;
Skonała sława Litwy na błoniach Rudawy...
Alfie! Już tylko jedna została nam droga,
Poświęcisz cześć i życie, lecz ukorzysz wroga.“

Drogą tą—zdrada we własnem ognisku wroga. Nakłania za chwilę Alfa, ażeby Litwie poświęcił miłość dla kobiety. W chwili, gdy mają się oddalić, zjawia się Aldona, odkrywa zamiary męża, lecz łzy jej i zaklęcia nie mogą zmienić jego zamiaru. Alf z Halbanem opuszczają zamek, Aldona mdleje, ażeby ocknąć się w ramionach mniszki i służebnic, ubolewających nad jej losem. Akt 2-gi przenosi nas do katedry Malborskiej, gdzie rycerze krzyżaccy modlą się przed wyborem W. Mistrza, błagając natchnienia z niebios. Chór:

Emanuel poznał go dopiero. Był to pastuch, zwany Gaizer-Bimel, który w chacie leśnej żył, jak pustelnik, który utrzymywał się z kilku kóz, a w lecie zajmował się polowaniem. Bimel bywał od czasu do czasu sługą kościelnym na „górze nędzy“ i miał sławę człowieka nabożnego i półgłówka w dodatku. Sposób życia jego i wyrażenia były dziwne, bo w odmiennych, aniżeli życie innych ludzi, ukształtowały się warunkach. Pradziadowie jego, prześladowani wśród zawieruch religijnych, przybyli podobno z krajów północy, a ojciec miał dojść do wielkiej doskonałości umysłowej. Ojciec umarł nagle, syn wyrósł wśród nędzy i osamotnienia, a nie umiejąc nic lepszego, gospodarował swobodnie za zwierzętami w lesie i zdziczał zupełnie. Oryginalnym był bieg myśli jego i nie troszcząc się o rzeczywistość, osobliwszej trzymał się logiki. Nie obchodził go nikt, podobnież jak i on nie obchodził nikogo. Był półgłówkiem.

Do tego człowieka tedy zbliżył się Emanuel i najniespodziewanej u nóg jego, słaniającą się wśród krzaków, spostrzegł—kobietę.

W tej chwili oniemieli oboje. I ksiądz sam z trudnością się opamiętał.

— Gaizer-Bimel! — rzekł w końcu — czyż to polowanie?

Na te słowa pastuch wybiegł z zarośli i odrzekł wesoło:

— Tak, to polowanie!

— Wyjdź i ty — zawołał Emanuel do kobiety, która ciągle jeszcze usiłowała się ukryć—i powiedz mi, kto was tu wsadził?

— Wyrośliśmy w krzakach, jak Matka boska tam na górze — odrzekł Bimel, mrugając.

Wydobywająca się zwolna kobieta młodą była i pełną życia. Ciemne pukle tylko zwieszały jej się na twarz w nieładzie. Podniosła kamień i chciała go rzucić za żmiją.

— Potworze ty obrzydliwy, tyś winien wszystkiemu! Choćby kto usta miał zabite gwoździami, musiałby też krzyknąć głośno, gdyby mu zwierz taki dyabelski przebiegł przez łapy!

Ale żmijka dawno już schroniła się w rozpadlinę skały. Ksiądz znów odezwał się z powagą:

— Myślę, że wąż tu postąpił inaczej, niż w raju.

— Panie proboszczu — odrzekł pastuch i ujął dziewczynę za rękę — co robić! To moja Urszulka!

Nic stało się nic złego.

— Jeżeli nie, dlaczegoście zaleźli w zarośla? — spytał ksiądz.

— Dlatego — tłomaczył się pastuch — że ksiądz dobrodziej tak często nas gromi w kazaniach swoich.

Z pozoru była to odpowiedź głupca, ale zgoryczyła ona księdza o surowych zasadach.

— Jesteś obłudnikiem! — wykrzyknął z zapałem. Przed ludźmi chcesz uchodzić za świętego i pustelnika, spuszczasz na dół oczy, gdy spotkasz kobietę, a to dlatego, abyś potajemnie mógł prowadzić życie rozwiązłe. A przy konfesyonale milczysz o tem.

— Bo to moja tajemnica — szepnął Bimel z głową naprzód wysuniętą.

— Ale pan Bóg wszystko widzi!

— Właśnie i ja tak myślałem, kiedym przemilczał o tem.

— Jesteś bluźniercą! — zawołał ksiądz. Ludzie mówią, żeś głupi. Ale ja cię teraz znam lepiej, jesteś przebiegły, podstępny, a może i więcej jeszcze!

— Ślicznie dziękuję za pociechę duchowną — dodał pastuch, kłaniając się z pokorą. Ale, powiedziałbym prawie — nie gniewaj się ksiądz dobrodziej — że przyczyną jego wyrzutów jest tylko...

— Jezus Marya! weź wodę do ust, Bimelu! — wykrzyknęła młoda kobieta, schwyciła młodzieńca za ramię i gwałtem go odciągnęła.

Zniknęli w gęstwinie leśnej. Długo jeszcze Emanuel słyszał głos rozżalonej dziewczyny, wyrzekającej na żmiję, która stała się powodem całego zajścia.

Ksiądz jeszcze jedno ostre, badawcze na zarośla rzucił spojrzenie — i sam także się oddalił. Często zatrzymywał się po drodze. W rozpadlinie pomiędzy dwiema skałami widział gniazdo krogulcze, w którem panował ruch nader ożywiony. W tem miejscu stał dosyć długo, a potem żałował, że w sposób tak szorstki napominał Bimela. Prawda, że był podrażniony, ale mógł łagodniejszych dobrać słów.

(D. c. n.).

„Duchu, światło boże!“ zachowany z poematu. W chwili, gdy Halban namawia kolejno rycerzy, ażeby Konrada (dawnego Alfa) wybrali, zjawia się w katedrze Aldona, pragnąca ujrzeć choć raz Alfa, o którym wie, że jest wśród niemców; ujrzawszy Halbana ukrywa się w konfesyonale. Jest świadkiem wyboru Konrada, któremu się ukazuje, gdy go rycerze dla modlitwy pozostawiają. Krzyż na jego piersiach dzieli ją od niego na wieki, chce więc przynajmniej w jego pobliżu zamknąć się w dobrowolnym grobie, we wieży koło kościoła. Konrad ostatecznie zmuszony jest przystać na to. Akt kończy się uroczystem wprowadzeniem Konrada na tron. Akt trzeci: uczta na zamku Malborskim, co do treści nie odbiega zbyt od poematu, tylko pieśni ministrelów inne, pieśń Wajdeloty bardzo skrócona i zmieniona, natomiast Alpuhara wcale szczęśliwie i w znacznej części wiernie wedle poematu odtworzona. Należy zauważyć jeszcze, że w czasie uczty arcykomtur, który już poprzednio poprzysiągł zemstę Konradowi za to, że mu sprzątnął godność W. Mistrza, usposabia niekorzystnie rycerzy krzyżackich przeciw niemu. W odsłonie pierwszej czwartego aktu odbywa się tajny sąd na Konrada w podziemiach zamkowych; i tu rzecz idzie wiernie wedle poematu. Druga odsłona u stóp wieży, w której zamknęła się Aldona. Zjawia się Konrad z Halbanem i zabrawszy ją mają uciekać do Litwy, gdy w tem wpadają członkowie tajnego sądu. Uprzedza ich zamiary Konrad, wypijając truciznę, za jego przykładem idzie i Aldona. Halban uchodzi na Litwę głosić sławę czynu Konrada.

Taką jest treść opery. Ogólną była obawa u nas, że wykonanie jej będzie słabe, bo po prostu nie ma obecnie sił odpowiednich na naszej scenie i musiano oddać większe partye śpiewakom operetkowym. Pod tym względem oczywiście nie należy ulegać złudzeniom. *Konrad* wykonany na wielkiej scenie, siłami pierwszorzędnemi, wyglądałby zupełnie inaczej i zrobiłby wrażenie. Do tego ma wszelkie warunki. Opera obfituje w cały szereg miejsc bardzo efektownych, przypomina mi najwięcej dzieła Meyerbeera. Drugi akt jest prawdziwie imponujący, podobny najwięcej do *Proroka.* Wogóle chóry są najpiękniejsze, zwłaszcza w 2-gim akcie, mianowicie wstępny na tle muzyki organów i końcowy o tempie marszowem. Niemniej piękne są chóry aktu 1-go i 4-go. Z partyi solowych piękną jest arya Halbana w akcie pierwszym i pieśń Wajdeloty w trzecim, tudzież arya Aldony („Któż me westchnienia“) w akcie ostatnim, bardzo efektownie przeplatana chórem kobiecym w kościele na nutę „Święty Boże.“ Z innych ustępów ładne są duety Aldony z Alfem w akcie 1 i 2-im, tudzież kwartet w akcie drugim. Największe wrażenie zrobił akt drugi. Prawdziwa burza oklasków się podniosła, chociaż już i po pierwszym nie szczędzono kompozytorowi oznak uznania, mojem zdaniem w tem miejscu nieco przedwczesnych. Akt trzeci nie zrobił zupełnie wrażenia i niewątpliwie jest najsłabszy. W znacznej części wypadł źle dlatego, że siły śpiewaków: Alfa (p. Floryański), Halbana (p. Jeromin—chociaż temu mniej można zarzucić), arcykomtura (p. Kiczman), nie mogły podołać zadaniu. Nadto jakoś nie mogłem dostrzedz w tym akcie nici przewodniej, lecz jakby fragmentaryczne ustępy: pieśń minstrela jednego i drugiego, pieśń Wajdeloty i Alpuhara, oto poszczególne popisowe występy, które mogły z tym samym skutkiem znaleść swe umieszczenie w innej części. Co do Alpuhary najwięcej miałbym pretensyi do kompozytora: muzyka zupełnie nie odpowiada pojęciu, jakie o tej pieśni każdy sobie musiał wyrobić. Brak w niej owej grozy zemsty, dramatycznego efektu, wstrząsającego słuchaczem.

Całość w dzisiejszej formie nie robi należytego wrażenia. Opera jest stanowczo za długa—pierwsze przedstawienie trwało do 11½ w nocy; wiele ustępów nuży zwykłego słuchacza, gdyż niejednokrotnie powtarzają się długie pauzy, wśród których oczekuje się z natężeniem, kiedy też stojący na scenie śpiewak zacznie śpiewać lub też dokończy zaczętej aryi. To też profani nieraz starali się te pauzy ze szkodą dla drugich wypełnić oklaskami. Często też powtarzają się przygrywki takie same, czego łatwo możnaby uniknąć; ma to miejsce zwłaszcza w akcie trzecim. Muzyka Żeleńskiego w *Konradzie* ma bardzo mało melodyi oper Moniuszki, jest dramatyczną.

Bohaterką wieczoru z pomiędzy śpiewających była pani Arklowa, jedyna operowa w całem tego słowa znaczeniu śpiewaczka u nas w chwili obecnej. Śpiewała wogólności bardzo ładnie, najwięcej wrażenia zrobiła w akcie ostatnim. Obok pani A. jeszcze zasługuje na uwagę p. Jeromin, śpiewający partyę Halbana, której jednak nie wszędzie sprostał. Grał nie szczególnie a w akcie trzecim zamiast choćby naśladować grę na lutni, przechadzał się po scenie, podpierając się lutnią. Bohater główny, Alf (p. Floryański), po raz pierwszy śpiewał tak wielką partyę, więc, jak mówią, wziął na ambicyę: robił co mógł i to też podnoszę—jednak siły mu nie dopisały w kilku miejscach. P. Kiczmana (arcykomtur) nie można ostro sądzić, bo, jak wyżej wspomniałem, dwa dni uczył się swej partyi, oczywista więc, że nie mógł śpiewać tak, jakby należało. O mniejszych partyach nie wspomnę. Chóry w ogólności były dobre i należycie wyćwiczone. Podnoszę ciekawy chór dzieci w akcie drugim, który robił miłe wrażenie; o najważniejszych już wyżej nadmieniłem.

Co do strony zewnętrznej, to dyrekcya dołożyła dosyć starania, ażeby opera przedstawiała się dobrze i dla oka. Sprawiono kilka nowych dekoracyj i nową garderobę. Pięknem było wnętrze katedry Malborskiej w akcie drugim i widok zimowy w akcie ostatnim, mianowicie: bok kościoła Malborskiego, wieża, w której Aldona zamknięta siedzi, w głębi zamarznięte jezioro, wszystko przyprószone śniegiem. Natomiast wytknąć należy rażący strój tajnych sędziów: są to ci sami rycerze krzyżacy z poprzedniego aktu, tylko mają na ramiona narzucone czarne płachty, które im zsuwają się i odkrywają białe płaszcze z krzyżami. Na głowach pikelhauby z rogami na czole, na twarzy ani masek (jak sobie wyobraża zwykły widz „tajny sąd“) lub półmasek, ani choćby przyłbic. Jeszcze jedno. W ostatnim akcie, gdy Konrad mówi, że ostatnia chwila jego się zbliża, sędziowie odrazu mu wierzą i najspokojniej się zabierają ze sceny. Gdyby tak Konrad sobie z nich zakpił i po ich odejściu uszedł z Aldoną?

Mamże jeszcze opisywać owacye, jakie Żeleńskiemu dostały się w udziale, wyliczać wieńce i bukiety? Chyba uwolnicie mię od tego.

Kończę życzeniem, ażeby *Konrad* ukazał się na pierwszorzędnych scenach europejskich, i twórcy swemu zjednał sławę a imieniowi polskiemu rozgłos.

Leszek.

NASZA UPADŁOŚĆ HISTORYCZNA.

III.

W przededniu sejmu czteroletniego widocznem już było polepszenie stanu finansów; ale w stosunku do potrzeb a zwłaszcza do wymagań, jakie postawiła reforma ustroju państwowego, 21 mil. złp. rocznie stanowiły zbyt szczupły dochód. Pierwszem więc staraniem partyi postępowej w sejmie i społeczeństwie było obmyślenie i wydobycie niezbędnych środków pieniężnych. Zdolność podatkowa narodu bynajmniej nie była nadużytą, owszem wyzyskiwano ją raczej niedostatecznie i niedbale. Rząd francuski zabierał rolnikom 53% dochodu, zaś ciężary feodalne i dziesięciny księże wynosiły 29%. W Galicyi właściciele płacili 40% intraty z dóbr oprócz podatków pośrednich. Według słów Staszyca, „we wszystkich państwach Europy, z mocy sławnych, podatki w jednych trzem częściom dochodów czystych równają się, w drugich 60 od sta czystego dochodu wynoszą.“ Wzory te nie mogły jednak zachęcać do naśladowania, chociaż szlachtę przerażał nie „tyle ucisk, pod jakim jęczą klasy opodatkowane“ — jak to powiada p. Korzon, ile niechęć do dzielenia się z kimkolwiek otrzymanym z pracy chłopskiej dochodem. Zresztą pod żadnym względem przykład ten nie zasługiwał na uznanie.

W sprawach finansowych literatura ówczesna nie przedstawia specyalnych badań, ale ekonomiści zabierają głos często. Staszyc, Kołłątaj, Popławski, Strojnowscy, Dembowski — są to fizyokraci czystej wody. Zasady ich określa najjaśniej Staszyc: „Wszystko ziemia wydaje. Wszystkie daniny na ziemię spadają. Tylko jeden jest rzeczywisty podatek a ten ziemia płaci.“ To też wyżej wymienieni autorowie proponują jeden podatek tylko — gruntowy, pobierany od czystego dochodu. Ten ostatni warunek świadczy dobrze o ich naukowej kompetencyi, na którą p. Korzon spogląda z góry, zarzucając im, że zapomnieli o obłożeniu pracy. Pomijając wadliwą stronę pomysłów naszych ekonomistów, dodać także należy, że niektórzy z nich (Dembowski i Popławski) zalecali jeszcze podatek dochodowy progresyjny, jakkolwiek ściśle wyrazić swojej myśli nie umieli.

Nie byli zresztą uczeni ci doktrynerami i wybitniejsi z nich — jak np. Kołłątaj i Staszyc — potrafili podporządkować swoje teorye wymaganiom politycznym chwili.

W *uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego* oraz w *Poprawach i przydatkach* do tego dzieła podaje Staszyc swoje wyliczenia, które jednak w wykonaniu okazały się przesadzonemi. Stawiając na pierwszym planie interesy rolnictwa, literatura ekonomiczna konsekwentnie wkładała nań ciężary państwowe i przekonała szlachtę o konieczności opodatkowania dochodów. P. Korzon uważa wszakże, że „niesprostała swemu zadaniu,“ bo z niechęcią wyrażała się o podatkach pośrednich i tylko z potrzeby zgadzała się na ich utrzymanie oraz rozwodziła się nad szkodliwością wysokich podatków. Przypuszczać więc trzeba, że autor podatki pośrednie i wysoką normę obłożenia uważa rzeczywiście za pożądane, bo inaczej trudno zrozumieć, czego chce. Ekonomiści współcześni nie mogli przecie świadomie kłamać i zalecać tego, co uważali za szkodliwe, w praktyce jednak zdobyli się na kompromis w imię dobra ogólnego. Więcej wymagać od nich niepodobna.

Pierwsza uchwała sejmu czteroletniego stanowiła podniesienie liczby wojska do 100,000 ludzi; ale była ona niepodobną do wykonania z powodu braku funduszów. Rozprawy w kwestyach finansowych wlokły się żółwim krokiem. „Straszna, ale sprawiedliwa o nas będzie definicya historyi, zawołał Morski, nieczynność sejmu zadziwia, śmieszy i wzgardą ku nam napełnia Europę.“ P. Korzon stara się wytłómaczyć tę powolność wadliwością regulaminu obrad, który jednak mógł być każdej chwili i został w końcu uchylony.

Zniesienie osławionej Rady Nieustającej praw z 1775 i 6 r. ustanowienie rządu przedsejmowego przyspieszyło nieco tętno obrad. W pierwszym roku uchwalono ofiarę dobrowolną, podymne protunkowe (podatek czasowy na ten raz tylko, *pro tunc*

mający się płacić), stempel od orderów i urzędów i ofiarę wieczystą 10 i 20 grosza. Ofiary dobrowolne przyniosły pół miliona złotych—jest to niewiele, jeżeli służyć ma jako miara zapału; ale w pierwszym roku rewolucyi dary patryotyczne we Francyi uczyniły tylko 361,587 fr. Pomiędzy ofiarodawcami wielu było mieszczan a nawet chłopów.

Wtedy również podniesiony został projekt odebrania na rzecz skarbu królewszczyzn. Popierał go energicznie Kublicki, ale na ten raz jeszcze starostowie wykręcili się powiększeniem kwarty. Układy o pożyczkę szły opieszale. Próba pożyczki wewnętrznej nie udała się, obywatele miejscowi, do których udano się z propozycyą odpowiedzieli: „iż nie jest w takim kredycie Rzplta, aby mogła u obywatelów znaleść pożyczenie pieniędzy.“ Negocyacye z bankierami zagranicznymi wydały pomyślny rezultat dopiero w późniejszym czasie.

Najwięcej budził nadziei podatek z dóbr szlacheckich, niewłaściwie nazwany ofiarą wieczystą. Był to pierwszy podatek, jaki szlachta na siebie nałożyła. Projekty oznaczenia normy jego, oparte na lustracyi lub szacunku wyprowadzonym z tranzakcyj, upadły; za podstawę taryfy przyjęto zeznanie intraty przez dziedzica i jego rządcę, poparte przysięgą i inwentarzami oraz rachunkami gospodarskimi z ostatnich 3 lat. Dla przyspieszenia poboru sejm „niepraktykowanym nigdy sposobem“ wyznaczył komisarzy 10 grosza i uspokoił się, sądząc, że potrzeby państwowe są już w zupełności zaspokojone.

Nadzieja jednak okazała się zawodną. Komisarze szybko bardzo spełnili swoje zadanie, ale taryfy wykazały zaledwie 9 milionów dochodu (nie wiele więcej niż zniesione podymne). Współcześni nie wierzyli tym wyliczeniom, a Staszyc otwarcie to wyraził: „szlachcic polski krzywoprzysiągł, aby nie dał podatku.“ To samo powtarza Kalinka.

P. Korzon stara się osłabić doniosłość tych zarzutów, przyznaje jednak, iż według późniejszych obliczeń, dochód roczny z samych dóbr ziemskich wynosił 105 mil. złp., a więc łącznie od szlachty i duchowieństwa winno było być około 14 mil. złp. podatku. Wyłączenie właścicieli, mających mniej niż 10 korcy zasiewu i uboższych proboszczów, nie mogło dać takiej różnicy. Na sejmie przytaczano mnóstwo przykładów niskiego szacunku, nadużyć krzyczących; nie byli bez winy i komisarze oraz dana im instrukcya. Na Mazowszu nie rachowano wcale intraty z pańszczyzny i tłok, z lasów, z wód, z sadów, wreszcie z bydła, ponieważ uznano to za dochody niestałe. Tam też ofiara stanowiła ledwie 2½% dochodu. Ale ani te przyczyny, ani powoływanie się na Francyę, w której t. z. *contribution patriotique* dała gorsze jeszcze rezultaty, ani niefortunny argument, że w prawodawstwie nie było kary za tego rodzaju występek — nie usprawiedliwiają ciasnego sobkowstwa większości szlachty i duchowieństwa, jak niezrównoważą go wypadki dosyć liczne dobrowolnego podwyższenia ofiary po nad normę szacunkową.

Bądź co bądź, ofiara przyniosła niewiele, i ogólne dochody Rzeczypospolitej dosięgły zaledwie 29 mil. złp. rocznie, kiedy tymczasem wydatki przy stutysięcznej armii powinny były wynosić 48 mil. złp. z górą, oprócz wydziału spraw wewnętrznych. Według zaś dokładniejszego (z 1792 r.) etatu, samo wojsko na stopie wojennej potrzebowało 47 mil. złp., a na stopie pokojowej 32 miliony. Potrzeba było myśleć o nowych środkach. Wyznaczoną została Deputacya koekwacyjna dla uregulowania taryf, zebrano przez nią materyały stanowią cenny dla historyi nabytek. Oprócz tego przystąpiono do uchwalania nowych podatków, bo nawet pomimo zmniejszenia liczby wojska do 65,000—dotychczasowe dochody nie pokrywały potrzeb. Powiększono więc czopowe, powiększono podymne z miast większych królewskich, które oświadczyły że „uczynioną dawniej ofiarę do skarbu zapłacą i nową chętnie przyjmują,“ uchwalono kilka nowych podatków, wreszcie Litwa zgodziła się na porównanie wszystkich swoich podatków z Koroną, „jakkolwiek przykrą dla niej jest ta zmiana.“ Sprzedane zostały także dobra poduchowne w Galicyi, i za przykładem kasz. Jeziorskiego wiele osób nie przyjęło zwrotu podymnego, co przyniosło skarbowi 700,000 złp. Przypuszczano po kilkakroć nowe szturmy do starostw, z początku uderzono na t. z. donatywy, na które nałożono 30%. Rezultaty utarczek tych były niewielkie. Zajęcie dóbr biskupstwa krakowskiego dało przeszło 600,000 złp. rocznego dochodu.

Gdy po upływie dwóch lat sejm nie rozwiązał się, ale zasilony wyborem nowych posłów, prowadził dalej swoje prace, reformy poszły żwawiej i sięgnęły głębiej. Po długiej i zaciętej opozycyi zapadł 19 grudnia 1791 r. radykalny wniosek sprzedaży starostw i innych królewszczyzn, nie weszdł on jednak w wykonanie z powodu szybkiego biegu wypadków politycznych.

Reformy te powiększyły kilkakroć budżet. Ogólny dochód obu skarbów Rzeczypospolitej, prócz t. z. służby długu publicznego i funduszu Ostrogskiego, wynosił w dwuleciu 1788 — 1790 77,556,000 a w 1790—92 około 79,500,000 złp. Wydatki zwyczajne w tym okresie wynosiły 65,863,151 i 80,450,317 złp. w Skarbie koronnym. Co do litewskiego niema dokładnych danych, zwłaszcza za drugie dwulecie; wydatki wynosiły 20 mil. złp. z górą na dwa lata. Z ogółu rozchodów wojsko kosztowało w tym czasie 120 mil. złp. (57 w 1788—90 i 73—w 1790—92 r.).

Oceniając działalność finansową sejmu czteroletniego, p. Korzon przyznaje, że najważniejszy cel — utworzenie 100,000 armii — nie został osiągnięty. Pozostaje więc do rozstrzygnięcia, czy sejm zadania tego spełnić nie chciał, czy nie mógł czy nie umiał?

Co do pierwszego niema, zdaje się, dwóch zdań, na dobrych chęciach nie brakło. Czy więc nie było możności? Zasoby materyalne Polski, jak widzieliśmy z poprzednich danych, wystarczały na daleko większe ofiary, zgadza się na to i p. Korzon, owszem przytacza nawet dowody, poczerpnięte z czasów rządów pruskich i królestwa kongresowego, świadczące, że dochód mógł być śmiało do 100 mil. złp. rocznie podniesionym. Ale w chęci usprawiedliwienia sejmu 4 letniego z zarzutów wyróżnia autor możność moralną i intelektualną, ta ostatnia, jakoby, na taki wysiłek finansowy nie pozwalała. Nikt nie wiedział, jakie są zasoby kraju, a przykład rządów pruskich i napoleońskich nie zasługuje na uznanie, bo o mało nie sprowadził bankructwa własności ziemskiej. „Czyliż sejm czteroletni mógł szafować zasobami kraju w ten sposób jak Prusacy albo Napoleon?“—pyta p. Korzon i dodaje: „byłoby to błędem, grzechem, szaleństwem, w okresie prac ustawodawczych, przy tworzeniu konstytucyi.“ Względy te, jak wiadomo, nie przeszkodziły Konwencyi ani przeprowadzać reform daleko bardziej zasadniczych, ani odeprzeć jednocześnie najazdu skoalizowanej Europy. Sejm czteroletni nie dopuścił się tego grzechu, tego szaleństwa, którego następstwem mogło być bankructwo obywateli — i doprowadził do bankructwa niezależności narodowej.

O umiejętności wyzyskania dochodów nie wiele dodać wypada. Bezrząd ogólny uniemożliwiał wiele reform finansowych a zwłaszcza ich wykonanie. Pozostawał jedyny środek ratunku — kredyt państwowy. Poprzednio zaznaczyliśmy nieudatne próby zaciągania pożyczki wewnętrznej i początek układów z obcymi kapitalistami. Pierwsze negocyacye nie doprowadziły do skutku, bo poseł pruski uprzedził „po cichu“ bankierów genueńskich, że nie można ufać rządowi polskiemu. Było to w miodowym miesiącu pruskiego „aliansu.“ Ale reforma rządu i skarbowości wzbudziła zaufanie w sferach bankierskich, w Holandyi zaciągniętą została pożyczka na dogodnych warunkach. Niedosyć na tem, zaufanie wciąż rosło, i nawet gdy w przeddzień Targowicy i wojny z Rosyą, nowa pożyczka 30 mil. złp. została uchwaloną, rząd otrzymał od bankierów liczne oferty.

Wielkim błędem finansowym był brak instytucyi kredytowej, któraby operowała papierami wartościowymi. W owym czasie w Europie wszędzie już istniały banki państwowe. W 1774 r. Sułkowski pierwszy poruszył myśl wydawania pieniędzy papierowych, myśl ta kiełkowała i kilkakrotnie podejmowaną była w literaturze. Jednocześnie zjawiają się projekty lombardu, banku narodowego itd. Są one nacechowane nieznajomością spraw finansowych. Na wyróżnienie zasługuje tylko projekt Kapostasa. Sejm odkładał rozpatrzenie tej sprawy do lepszej chwili i nic nie postanowił. Kredyt tego rodzaju najłatwiej dostarczyć mógł potrzebnych środków. Stany Zjednoczone podczas wojny o niepodległość zaciągnęły 336 mil. złp. długu, konwencya wypuściła asygnat za 16 miliardów franków, Katarzyna II na 200 milionów rubli. P. Korzon pochwala ten sposób postępowania, bo *salus respublicae—suprema lex*. Bardzo słusznie—alež to byłoby stokroć większym „błędem, grzechem szaleństwem“ i jak się tam jeszcze nazywają występki przeciw interesom własności ziemskiej!

Konfederacya targowicka zniweczyła postanowienia „rewolucyjnego sejmu“ i nakazała tylko płacić podatki, pobierane przed 3 maja 1791 r. Z początku zaczęto zwracać szlachcie ofiarę 10 i 20 grosza, na żądanie zwolenników „złotej wolności“ przez potrącenie kontrybuentom wniesionej kwoty przy opłacie bieżących podatków. Ale postanowienie to opróżniło kasę, tymczasem nadeszły wydatki, zarządzono więc surowe środki egzekucyjne opłat od poddanych, ściągano zewsząd gotówkę, skonfiskowano nawet ofiary złożone na walkę z konfederacyą, wyłączając tylko srebro, które obrócone być miało „na bicie medali dla cnoty obywatelskiej.“ Wreszcie odwołano bonifikacyę ofiary. Nie wiele to pomogło — widmo bankructwa finansowego ukazało się na widnokręgu, poprzedzone upadłościami firm bankierskich. Oprócz klęski ekonomicznej nieodłącznej od wojny i zamieszek wewnętrznych, ubóstwo skarbu inne miało jeszcze przyczyny. Obce wojska zabrały w kasie prowincyi ukraińskiej 1,150,670 i wielkopolskiej 1,002,727 złp. Ile zabrano z kas litewskich — nie wiemy. Obrońcy tradycyi i porządku przyjęli czynny udział w ogólnym rabunku. Poniński wyrwał 45,000 złp., Ankwicz polikwidował sobie sute koszta poselstwa do Danii. Bogaty Szczęsny Potocki kazał sobie wypłacić, oprócz pensyi generała artyleryi i pensyę generał lejtnanta, Rzewuski 50,000 złp. wrzekomo zaległej gaży, b. Kossakowski otrzymał „w nagrodę zasług“ ogromne dobra biskupstwa krakowskiego. Konfederacya litewska niemniej od koronnej względną była dla cnotliwych obywateli. Hetman Kossakowski dostał 500,000 złp. i zaległe podwójne gaże, biskup Masalski w posiadanie dziedziczne Połągę i inne majątki. Zabiełło, Ankwicz itp. brali gotówkę lub starostwa „w nagrodę pracowitych zasług.“ Po drugim rozbiorze położenie ekonomiczne uszczuplonego kraju było rozpaczliwe — nie lepszy był stan finansów. Bankructwa bankierów pochłonęły 150 mil. złp. siedmiokrotna „publiczna składka furażów“ dla obcych wojsk wyczerpała zapasy zbożowe. W kasach koronnych znajdowało się w chwili wybuchu

powstania 778,397 złp., w Litwie zaś całą kasę zabrał generał Cycianow, kiedy się cofał do Pińska. Rząd rewolucyjny, jakkolwiek nadzwyczajnej energii nie zdradził, okazał jej jednak więcej, aniżeli poprzednicy jego na sejmie czteroletnim. Dodać należy, że i ofiarność przybrała znaczniejsze rozmiary. Pobory gotowizną i w naturze wyniosły poważną sumę. Jeżeli przyjmiemy na uwagę powszechne zniszczenie kraju, ciągłe krzyżowanie wojsk swoich i obcych, brak organów administracyjnych i środków egzekucyjnych, przyznać musimy, że strona finansowa ostatniej walki przedstawia się jeszcze najlepiej. Brakowi gotówki zaradzono wypuszczeniem biletów mennicznych, zaręczeń skarbowych, wreszcie od 16 sierpnia 1794 r. biletów skarbowych na okaziciela, opartych na dobrach narodowych. W pomyśle tej operacyi odnajdujemy ślady projektu Kapostasa, on też zajmował się jej wykonaniem. Wypuszczono asygnat różnego gatunku na sumę około 20,000 mil. złp. Cyrkulacya biletów była przymusową i obwarowaną surowemi karami, wypadki nie przyjmowania zdarzały się wszakże często. Żydzi skarżyli się, że muszą opłacać wysokie agio, ale prezydent Warszawy Zakrzewski, bez ceremonii odparł że „dawniej więcej płacili a na wojsku dużo zarabiają. Nie będziemy rozpatrywali szczegółów tej rozpaczliwej agonii, tych usiłowań ocalenia się od ostatecznego politycznego bankructwa. Ci, co wzięli na siebie to zadanie—nie potrafili a raczej nie mogli mu sprostać, pomimo ofiar osobistych i materyalnych. Usiłowania ich nie były w stanie zapobiedz ogólnej politycznej i ekonomicznej upadłości. Wiadomo, w jaki sposób odbyła się likwidacya spadku po Rzeczypospolitej. Ostatni jej przedstawiciele poradzić nic na to nie mogli, wysiłki ich przyspieszyły tylko nieuniknioną katastrofę. Ocalili wszakże to, co się przynajmniej ocalić dało—honor narodowy, i jeżeli nie dokonali rehabilitacyi przeszłego dziejowego żywota—opromienili urokiem poświęcenia smutną chwilę konania. Z zasobów istniejących wzięli co się dało, resztę zaczerpnęli na rachunek przyszłości. Przyszłości tej zostawili do wypłaty zobowiązania, z których uiścić się musi bądź co bądź, chociaż na pokrycie ich otrzymała tylko w spadku pretensye słuszne może, ale silnie zakwestyonowane. A zresztą, historya nie zna podobno terminów prekluzyjnych...

W—o.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński. **Paulina córka Ewy Felińskiej.** Lwów. nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1885 IV 320 w 8-ce.

O swej siostrze Paulinie i matce Ewie opowiada gorliwy kapłan, kochający brat i syn. Kółko rodzinne, może nawet grono pobożnych chrześcian zajmowałyby te osobiste, religijne wspomnienia i uczucia; w druku jednak czynią one książkę nadzwyczaj nudną i — jak się przekonamy — wcale niepotrzebną.

Kto jest ta Paulina, że się rozpisano o niej na trzystu dwudziestu kilku kartach? Córką Ewy Felińskiej, powieściopisarki z potrzeby, pobożnej katoliczki i patryotki, osobą religijną, ale słabego charakteru, a przedewszystkiem nie zajmującą nikogo, chyba swoich najbliższych. Pisać tak długo i szeroko o kobiecie zajętej tylko dziećmi i gospodarstwem domowem, drukować listy osoby, nic nie znaczącej, zamkniętej w czterech ścianach, dla której wszyscy niemal ludzie są obcymi, a „świat cały pustynią—oprócz Berezowa“ wydaje mi się rzeczą w założeniu chybioną. A cóż dopiero, kiedy o tej osobie pisze człowiek religijny, szlachetny, ale zaślepiony w rzeczach dotyczących rodziny i religii, aż do nierozwagi. Cała książka—to panegiryk córki, matki, babki itd. wszystkie one dobre, rozumne, cnotliwe, poświęcające się, idealne, bo—religijne, pobożne, katolickie. To anielstwo odbija się już na ich twarzy. Oto jak np. wygląda w oczach autora Paulina. „Urok jej miał raczej coś wspólnego ze światła promieniem, co kierunek tylko wskazując *ku niebu*, wzrok porywa i na obliczu *słońca* patrzeć im nakazuje. Patrząc na nią, nie myślało się wcale o rysach jej twarzy, ale po za tą wątłą powłoką czuło *się anielskiego ducha,* co opromieniając *nadziemskim blaskiem* jej lica, skrywał niejako jej rysy przed wzrokiem patrzącego, jak brylantowa światłość świętojańskiego robaczka, kształty jego przed ciekawością wędrowca ukrywa. W jej błękitnych oczach nie raj ziemski z jego zmysłowemi rozkoszami, *ale Niebo z chwałą Stwórcy* się malowało, bo w ich spojrzeniu było tak coś czystego, *tak duchowego, tak świętego* powiem, że spotkanie się z jej wzrokiem nietylko żadnych ziemskich nie wzniecało promieni, ale gasiło owszem wszelką doczesną żądzę i w dziwną jakąś zadumę o czemś *wyższem nadziemskiem* wyprowadzało.“ A jaki to rozum siedział w tej Paulince „Sądy jej i zdania uderzały zwłaszcza oczywistością i że tak powiem dotykalnością zawartej w nich prawdy, pomimo że nie potrzebowała dochodzić do nich drogą długiego rozumowania, a tem mniej odwoływać się do przeczytanych o tym przedmiocie książek. W jej rozmowach cienia nawet pedanteryi dopatrzeć nie było można, i to właśnie najwięcej podbijało umysły, gdyż bez żadnych uczonych wywodów rozstrzygała najzawilsze moralne i społeczne kwestye z taką prostotą i skromnością, że nie zadrasnąwszy niczyjej miłości własnej, jasno i gruntownie przedmiot przedstawiła, jak gdyby w głębi duszy nosiła nieomylną wszelkiej prawdy normę. *Obrońca idei wrodzonych znalazłby w rozmowach z Paulinka wiele niezbitych dowodów, na poparcie swej teoryi,* (!) bo zdarzało się nieraz, że w kwestyach, o których ani czytała, ani słyszała przedtem, tak wierne przy zdarzeniu wydawała sądy, jak gdyby najgruntowniej przedmiot ten zbadała. Rzekłbyś że istotnie Pan Bóg *pierwowzory dzieł swoich* (!) jej ukazał, i wszystkie prawdy moralne na tablicach jej serca wyrył, tak uczucia piękna, dobra, i sprawiedliwości zdawały się być składowemi częściami duchowego jej organizmu.“ Tak maluje Paulinkę ckliwy, sielankowo-patryarchalny sentymentalizm autora—zacierający charakterystyczne rysy portretu zdjętego według wzorów biblijnych, a nie z natury, sentymentalizm, osłabiający zupełnie wiarogodność opowiadania i roztapiający wszystko w tyglu barankowej bogobojności. Całe zresztą opowiadanie autora składa się z błahych drobnostek, mających wyłącznie tylko osobiste znaczenie. Np. „Ja wstaję o godzinie czwartej, a najpóźniej piątej, Józia zaś wstaje dopiero o siódmej; ta więc para godzin jest dla mnie bardzo droga: w niej używam zupełnej samotności i mogę pomodlić się bez przeszkody i przygotować listy na pocztę. Między ósmą a dziewiątą pijemy mleko, i porządkujemy w domu; poczem jeśli dzień jest widny, siadamy do kanwowej roboty, która ze wszystkich zajęć tutejszych najbardziej mię zajmuje i uspokaja nawet myśli; jeżeli zaś jest przyciemno, robię ząbki z nici kupionych jeszcze w Wilnie, które tu za osobliwość uchodzą. Wieczorem czytam i robię pończochę. O ósmej godzinie rzucamy czytanie, czasami jeszcze przeciągniemy jaki pasians, zwykle na intencyą, czy przyjdą listy z poczty, poczem odmawiamy pacierze i kładziemy się do łóżka, gdzie ja czytam jeszcze czas jakiś sama dla siebie“ itd.

Albo tego rodzaju listy „Drodzy i kochani Adamostwo! Ponieważ już wiem, że listy moje was dochodzą, będziecie mieć częste odemnie wiadomości. Jakże dobrzy jesteście, że chcecie mi poświęcić chwile, którebyście mogli tak przyjemnie w rodzinnem gronie przepędzić. Ale czemuż tak mało szczegółów piszecie mi o sobie i o dziatkach waszych? Gdzie też mieszkacie teraz? co porabiacie? Adamowa kochana czy też zapomniała o mnie, że w ostatnim liście ani słówka nie napisała? Gdzie przebywają teraz Władysławowstwo, Seweryn, Aleksy? Jak się ma Emilka, Teosia? nic nie powiększyła się ich familia? A Antosia, Stefka, czy zdrowe, czy urosły? itp.

A trzeba dodać, że wszystkie listy oczyszczał wydawca starannie *z dat* i wszelkich *drastycznych rzeczy,* przesiał je potem przez sito swych rodzinnych, tradycyjnych i religijnych wierzeń, a w końcu zretuszował je i wygładził swoim stylem potoczystym, płynnym, ale trochę wodnistym. Korespondencya córki z matką (jak się domyślam około 1840 r.) nie ma nawet charakteru bezpośredniej, poufnej, serdecznej rozmowy, którąby ogrzała czytelnika, albo dała pożądany materyał psychologowi. Są to przeważnie rozmyślania, albo ćwiczenia stylistyczne w tym rodzaju: „Jak roślina słońca, tak ja promienia Twej miłości potrzebuję: niech mi nadzieja połączenia się z Tobą odjętą zostanie, a wnet me serce zamknie się jak kwiat powoju, kiedy nań słońce świecić zaprzestaje.“ Ks. Feliński występuje rzadko z tej książki w własnej osobie, tam zaś, gdzie objawia swoje poglądy, widać okropne zacofanie, jak np. w owej trochę spóźnionej filipice przeciw emancypacyi (str. 80—90) albo w wstecznych pojęciach pedagogicznych (21—2, 77—8, 83) i naukowych (str. 66—7). Głęboka religijność ks. Felińskiej zniża się czasem do zabobonności, jak w opowiadaniu o cudotwórcy ks. proboszczu z Łysina (str. 58—9). Materyały odnoszące do Ewy Felińskiej, wygnanki z Berezowa znanej autorki powieści i pamiętników. (Wilno 1852—3, 1856—9) mogłyby być pożądanymi, gdyby je zużytkować krytycznie, ale ta gruba książka o Paulinie samej na nic się nie przyda.

H. B.

PRZEGLĄD SZTUKI PLASTYCZNEJ.

I.

Hus — Brozika.

Chociaż pisano u nas ostatnimi czasy dużo na niekorzyść „dążeń ubocznych“ i tendencyj w malarstwie, jednak historya sztuki świadczy, że wpewnych razach mogą być one siłą, zapładniającą twórczość artysty. Chodzi tylko o to, aby malarz nie pragnął wyrazić tego, czemu plastyka nie jest w stanie podołać, aby nie wpadał w zawiłą symbolikę, ale umiał przemówić do widzów potęgą istotnie artystycznego odczucia i odtworzenia przedmiotu. Zasada, aby obraz mówił sam za siebie, posunięta do ostateczności, może zaprzeczać prawa bytu malarstwu historycznemu, ale rozwój sztuki, zarówno poetycznej, jak i plastycznej, a nawet teraz i muzycznej świadczy, że pierwiastek historyczny jest składnikiem znakomitych arcydzieł. Co zaś w sztuce jest, to chociażby się nie godziło ze skrajnemi doktrynami tej lub owej szkoły, tego lub owego kierunku, czy sekty artystycznej, to ma racyę bytu wobec badacza, który doszukuje się praw tworzenia, nie fabrykując danych prawideł.

Przed kilku laty z powodu kanonizacyi inkwizytora Piotra Arbueza, będącej niedorzecznym wybrykiem partyi jezuickiej w Rzymie, Kaulbach narysował świetny karton, w którym nad głową ponurego kata fanatyzmu umieścił nimbus.

To kółko świętości było gryzącą ironią wobec widoku ofiar, ciągnionych na stos, wobec rozpaczy kobiet, na próżno błagających litości u nóg nielitościwego fanatyka, który z nienawiścią patrzy na zgubę kacerzy.

Znać było w tej energicznej kompozycyi, że Kaulbach namiętnie odczuł ohydę uświęcania podobnych wspomnień. Dzieło sztuki zawierało wyraźny protest, a pomimo to robiło silne wrażenie, ponieważ artysta tchnął w nie uczucie, namiętność polityczną i przemówił do widzów w sposób zrozumiały a dosadny.

Taż sama siła nadaje żywotność wielkiemu obrazowi Brozika *Hus przed soborem w Konstancyi*, który obecnie ściąga tłumy widzów na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Ale artysta czeski nie był tak namiętnym obrońcą reformatora, jak Kaulbach pogromcą inkwizycyi i przedstawił scenę dziejową spokojniej, z pozorami przedmiotowości. Cały jednak układ i nastrój obrazu świadczy, że Brozik nie zajmował wobec tej sprawy tak bezstronnego stanowiska, jak np. Buckle wobec inkwizytorów hiszpańskich, którzy działali okrutnie, ale z wiarą w prawość swego posłannictwa.

Całe poczęcie i zestawienie kompozycyi świadczy o tej świadomości, z jaką malarz układał wizerunek dziejowego dramatu, pomyślany znakomicie, chociaż nie we wszystkich szczegółach odczuty. Cokolwiek bowiem powiedziała o obrazie Brozika krańcowo realna i krzycząco jednostronna krytyka, to pewna, że umiał on znakomicie streścić w postaciach pojmowaną przez siebie scenę. Kto nie czuje danej dziejowej chwili, ten tylko nie może uznać wysokiego rozumu artysty w zestawieniu naczelnych kontrastów, i przeoczyć ten dar skupiania, który jest przymiotem wszelkiej twórczej siły niepospolitego nastroju. Dość rzucić okiem na dwie główne postacie—Husa oraz biskupa konkordyańskiego, który czyta wyrok kacerzowi wobec siedzącego w głębi cesarza Zygmunta I. Postać reformatora świadczy wymownie, że jest to asceta, silny wewnętrznem przekonaniem, wznoszący się wzrokiem w zaświatowe sfery. To namaszczony apostoł, a biskup — to zacięty fanatyk, pogromca herezyi, przedstawiciel zwycięskiej hierarchii i prawowierności; ostre, energiczne jego oblicze, pełne zaciętego uporu i nieubłaganego okrucieństwa. A siedzący w głębi Zygmunt nie jest bynajmniej królem karcianym — jak niesłusznie powiedział jeden z krytyków. Na jego wysoce typowej twarzy maluje się obojętność autokraty, nie zapala on się fanatyzmem, dbając prawdopodobnie tylko o własną potęgę. W głębi na ławach zasiedli inni członkowie koncylium, których oblicza artysta namalował z niemałą siłą i wielką różnorodnością typów. Skąd je brał — mniejsza, to pewna tylko, że one żyją, że są nawskróś księże, że widać w nich to zaciekły upór, to zuchwałość władzy, to suchy pedantyzm. Ani jednej twarzy z którejby biło szlachetne światło ducha, nigdzie ani błysku współczucia, nigdzie nawet głębokiej siły przekonania. Artysta malował je z widoczną nienawiścią, nic więc dziwnego, że widział w nich tylko złość, ciemnotę i fanatyzm. A jednak pomimo całego ohydnego i wiarołomnego postępowania soboru wobec Husa, byli niewątpliwie na tym wiecu duchownym ludzie, którzy potępili reformatora w dobrej wierze, myśląc, że bronią prawdy i świętości najwyższej. To właśnie namiętne traktowanie przedmiotu stanowi siłę artysty.

Jako czech, jako czciciel pamięci apostoła, który z reformą religijną łączył duch narodowy, Brozik patrzał nienawistnie na jego wrogów i kata. Dlatego też nie starał się w kompozycyi uwydatnić wrażenia, jakie musiał wywrzeć na wielu uczestnikach wyrok, który skazywał Husa na straszną śmierć w płomieniach, ale przedstawił obraną scenę jako ostatni akt dramatu zemsty i nienawiści. Znać na twarzach mnichów i księży, z jaką zawziętością potępiają człowieka, walczącego w imię oczyszczenia wiary chrześciańskiej, jak gotowi zgnębić choćby najlżejsze porywy reformy, dążącej do swobody sumienia. Dlatego też artysta nie starał się przeprowadzić we wszystkich twarzach jedności danego psychicznego momentu, nie ukazał gry rozmaitych wrażeń, ale odbił w nich te uczucia, które czynią z Husa ofiarę srogości.

Prawda jednak, że Brozik mógłby więcej spoić niektóre postacie z głównym wątkiem obrazu, że naprzykład pyszne pod względem malarskim postacie dwu panów czeskich po prawej stronie mógł ożywić większem współczuciem dla doli gnębionego ziomka.

Zresztą całość, pomimo ogromnych rozmiarów, jest zestawioną nader umiejętnie i odrazu rzuca się w oczy widzowi. Możnaby obmyśleć ugrupowanie bardziej malownicze, lub dramatyczniejsze, ale to pewna, że w obecnym układzie główno postacie doskonale wychodzą z tłumu, że grupy odrębne rozkładają się harmonijnie, że, słowem, od pierwszego rzutu oka widz może objąć całość. Niedość na tem, znakomitą zaletą obrazu jest doskonała perspektywa powietrzna — i rozkład światła. Figury nie tłoczą się tu na siebie, ale stoją w odpowiednich odstępach. Artysta zwycięsko pokonał trudność optycznego wrażenia przestrzeni, co szczególniej świetnie uwydatnia się w górnej, architektonicznej części obrazu.

Linie i łuki konstancyjeńskiej katedry biegną tu w powietrznej przestrzeni wśród krzyżującego się w różne strony światła, którego odblaski i załamania się artysta bardzo dobrze wystudyował, utrzymując jednak tę część w wyrazistości drugoplanowej tak umiejętnie, aby nie szkodziła scenie głównej, aby mury na obrazie nie zabijały ludzi. Siła wykonania jednak wszystkich figur niejednakowa. Postać naczelna jest perłą obrazu. Chociaż w twarzy pod względem malarskim czuć lekkie braki rysunku i kombinacyi płaszczyzn, jednak ileż w niej charakteru, ileż wewnętrznego skupienia, jaki blask spokojny a silny bije z oczu reformatora! Cała figura postawiona szlachetnie, czarna szata spływa wolno ku ziemi, ale znać, że opiera się na krzepkiem lubo wychudłem ciele ascety, wycieńczonego przez więzienne posty. Jego wróg żyje również, ma to piętno charakterystyczne, te rysy spiczaste, ruchliwe, ten nos orli, wąskie wargi i ostrą brodę, jakie można widzieć u Arbueza Kaulbacha, lub w naturze u typów księżych, z którymi łączymy zwykle pojęcie jezuityzmu. Inne głowy, chociaż pod względem malarskim trochę jednostajne w kolorze, żyją i mówią do widza. Brozik umiał w nich dobrze zużytkować modele, nie był kopistą konwencyalnych typów, ale dobierał oblicza do pomyślonej charakterystyki, brał także widocznie wiele typów księżych ze starych portretów i malowideł klasztornych, gromadząc materyał z właściwego źródła. Nie znać tu wcale odtwarzania bezdusznego modelów, ale owszem artysta potrafił dane, wzięte od natury, ożywić iskrą samodzielnego odczucia. To pewna jednak, że pod względem malarskim siła pędzla Brozika nie wszędzie zadawalnia. Są tu twarze traktowane trochę pobieżnie — jak np. drzemiącego na wyniesieniu prezesa koncylium, a kostiumy wielu figur rzucone śmiało, lecz bardzo nie dociągnięte. A jednak strój i akcesorya zdobiące dwie postacie czeskich panów, oraz dawniejsze, nieznane u nas dzieła Brozika, świadczą, że on i pod tym względem bywa mistrzem. Nie chciał tu się rozpraszać na drobiazgi, ale co prawda mógł staranniej wykończyć taki ornat zdobiący biskupa konkordyańskiego, albo purpurę na kardynale francuskim, umieszczonym przy lewej krawędzi obrazu, a nadewszystko zupełnie niedbale i błędnie rzuconą kapę na postać germańskiego cesarza. Pomijając szczegóły, zaznaczyć wypada w malowaniu, w sposobie nakładania płaszczyzn, niewątpliwy wpływ Munkaczego, do którego potężnej wyrazistości daleko jednak czeskiemu artyście. Całość w każdym razie robi niepospolite wrażenie i przemawia do widza odrazu wewnętrzną treścią. Ponieważ Brozik nie używał drobnych efektów, więc wrażenie mówi o żywotności jego dzieła. Zapewne że nie czuć tu takiej potęgi pierwszorzędnej, takiej wybitnej, niedającej się z niczem porównać oryginalności, jaką imponuje np. Matejko, ale w każdym razie znać silną rękę mistrza, który umie artystyczne odczucie przedmiotu połączyć z tworzeniem rozumnem i szerokiem, a posiada siłę pędzla w wielu szczegółach znakomitą.

LIBERUM VETO.

Walka nad „Świtezią.“ — Brzydki skandal. — Grad protestów. — Projekt p. Dykasa. — Kto należy do warchołów. — Przekonanie i komenda. — Zjadanie peruki. — Rachunek prawdopodobieństwa. — Szkic Matejki i jedyne wyjście. — Kto je wskaże funduszowi dla powodzian.

Walka nad „Świtezią“ przybrała takie rozmiary, że jej już najobszerniejsza czapka stańczykowska nakryć i swoimi dzwonkami zagłuszyć nie może. Komisya konkursowa, zamiast projektu dla Mickiewicza, wywołała dla ogółu i dla siebie paskudny skandal, który ujawnił rozmaite sprężyny najwyklejszej, mizernej prywaty, a który bodaj był nigdy nie splamił naszego życia. Jest to zjawiskiem dość powszedniem, zwłaszcza u nas, że wszelkie wyroki konkursowe budzą cichszy lub głośniejszy protest. Trzeba wszakże odróżniać jednostkową skargę zawiedzionej nadziei lub też niechęć jakiejś grupy od powszechnego niemal oburzenia i zgrozy. A takiem właśnie oburzeniem i taką zgrozą odpowiedziano na wyrok, koronujący powtórnie p. Dykasa, który chyba pokutować za to będzie w odpowiedniem przysłowiu. Najrozmaitsze instytucye, stowarzyszenia, stany, redakcye — przesłały do Krakowa swoje *veto*. Nawet wierny sojusznik stańczyków Matejko ogłosił publicznie list protestujący. I rzeczywiście cała ta wrzawa ma za sobą poważną słuszność. „Projekt p. Dykasa — pisze do nas jeden z poważnych krytyków estetycznych — jest pospolity, śmieszny i niezastosowany ani do warunków konkursu, ani do zebranej drogą składek sumy. Mickiewicz, stojący na zwykłej podstawie, pod którą siedzą dwie postacie niewieście, może udawać wszystkich ludzi sławnych wszelkich krajów. Nic go nie znamionuje ani jako wielkiego poetę, ani jako polaka, ani jako autora nieśmiertelnych dzieł. Jest to komunał, szablon najpospolitszego gatunku. Śmieszność projektu stanowi wodotrysk z przodu i wanienka z tyłu. Pomijając już to, że nie pomyślany w stylu odrodzenia, podznaczyć trzeba ważniejszą okoliczność, że wykonany według tego projektu pomnik powinienby kosztować od 60 — 80,000 złr., podczas gdy dotąd zebrano 120,000.“ Pod wpływem wszak-

że krzyków zuchwale lekceważonego ogółu postanowiono: wanienkę uprzątnąć. wodotrysk zatkać, figury zmienić, Mickiewiczowi głowę podnieść itd., słowem z armaty p. Dykasa zostawić dziurę, która ma być oblana czem innem, czem zaś, o tem p. Żumbusch, jeden z sędziów, mający odlewnię w Wiedniu, pomyśli. Ty zaś głupi narodzie, który się burzysz, a powinieneś tylko milczeć i płacić, bądź pewien, że twoje pieniądze będą wydane do ostatniego centa.

Tak szlachetnie, sprawiedliwie, rozumnie spełniony został przez komisyę krakowską obywatelski obowiązek wyboru projektu na pomnik największego poety polskiego!

Czy jest na świecie cywilizowanem społeczeństwo, któreby zniosło cierpliwie taką zniewagę i któreby przez swe organa nie zaprotestowało? A teraz posłuchajcie, co o tym proteście mówi dziennik, noszący barwę stańczykowską — *Słowo*. Według tej gazety, zawstydzającej nie pierwszy raz — Dyogenesa, ów „protest może być tylko sprawą warchołów i taką jest,“ gdyż „pewne *anarchiczne* (!) żywioły korzystają z wszelkiego objawu niezadowolenia, ażeby je rozdmuchać,“ a „trzeba strasznie rozbitego społeczeństwa, aby podobne protesty nie zostały zgniecione *powszechnem, publicznem potępieniem opinii publicznej.*“ To znaczy: warchołami są rzeźbiarze warszawscy, redaktorzy poznańscy i galicyjscy (z wyjątkiem *Czasu* i *Słowa*), warchołami są członkowie Czytelni Akademickiej, którzy pierwsi podjęli myśl wystawienia Mickiewiczowi pomnika, warchołami są uczestnicy Koła literacko-artystycznego, warchołem jest spokojny i zacny L. Jenike, który sam zebrał kilkanaście tysięcy rubli składek, warchołem jest wreszcie Matejko, bo i on tak ostro oświadczył się przeciw wyrokowi konkursowemu, że aż dziwnie ze *Słowem* zgodne prokuratorya krakowska skonfiskowała numer *N. Reformy*, zawierający list mistrza. Wszystko są to „żywioły anarchiczne,“ fusy społeczne, kanalia, czerń. No przyznajmy, że dobosze warszawskie dobrze służą hetmanom krakowskim i przynajmniej w wymyślaniu nie ustępują przewódcom. Szczytem wszakże tego „warchowania“ jest chęć, aby „opinia publiczna powszechnem potępieniem“ zgniotła protesty, kiedy ona sama je wydała. „Powszechne potępienie“ padło, ale właśnie na wyrok konkursowy a teraz i na jego nielicznych obrońców. Gdyby nawet słuszność w tej sprawie była wątpliwą i nie kłuła swą wyrazistością najbardziej ślepych oczu, spór przedmiotowy z konfederackim i właściwie warcholskim uniwersałem warszawskiej filii *Czasu* byłby niepotrzebnym, gdyż ona zbyt jest niesamodzielną. Można przekonywać ludzi, którzy w coś wierzą, ale nie ludzi, którym w coś wierzyć kazano, którzy słuchają nie swoich zasad, ale komendy. Wyglądałoby to zupełnie tak, jak gdyby ktoś w Dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa Kredyt. chciał osłabić kredyt ziemianina, któremu Dyrekcya główna przyznała wysoką pożyczkę. Na zlecenie Banku Polskiego jego filia piotrkowska musi wypłacić przekaz, na zlecenie *Czasu Słowo* warszawskie wypłaca p. Dykasowi określoną sumę sławy. Ów artysta może sobie być najzwyklejszym partaczem — to wszystko jedno; jeżeli stańczycy postanowili go mianować najznakomitszym rzeźbiarzem polskim, ich podkomendni rzucą się do gardła każdemu w obronie tej nominacyi. Karny żołnierz na rozkaz dowódcy powinien zjeść perukę, i korespondent *Słowa*, łżąc cały niemal ogół i wychwalając projekt p. Dykasa, także zjada pewnego rodzaju perukę. To też niedarmo one ze wszystkich cnót ludzkich najbardziej zaleca karność. Dwu pułkowników odmiennej narodowości — według anegdoty — spierało się, który posiada bardziej posłusznych żołnierzy. Jeden kazał szeregowcowi wyskoczyć oknem z pierwszego piętra — wyskoczył. Drugi powiada do swojego: pal pana pułkownika w gębę — palnął. Czyż należało go rozstrzelać? Bynajmniej — on był karnym. Podobnie i *Słowa* rozstrzeliwać nie wypada za zniewagę opinii.

Wartość czynników i pobudek tej szpetnej sprawy jest już dostatecznie znana i oceniona; ciekawą i zagadkową pozostaje tylko kwestya: co się stanie z pomnikiem Mickiewicza? czy osławiony komitet, posiadając w swem rozporządzeniu fundusze, zechce posunąć śmiałość jeszcze dalej i wznieść pomnik według projektu p. Dykasa? Jest to bardzo prawdopodobne; tymczasem w opinii publicznej przeważa zdanie, ażeby wybrano inną, odpowiedzialniejszą komisyę i albo wyznaczono nowy konkurs, albo wykonano model według pomysłu Matejki. Jego szkic ma być świetnym: karyatydy dźwigają sarkofag, na którym stoi Mickiewicz z pochodnią w jednej a lirą w drugiej ręce; na dole sceny z dzieł poety. Mistrz, zrozumie mistrza, a chociaż malarz, może on mieć pomysł lepszy, niż wszyscy mierzyni dłuta, z których wielu nawet utworów Mickiewicza nie czytało. Obok smutnego rezultatu konkurs krakowski wykazał brak u nas wyższego talentu rzeźbiarskiego. Powinien go zastąpić Matejko, bądź jako twórca, bądź jako przewodniczący w komisyi rozpoznawczej, a wtedy owa „opinia publiczna,“ którą koniecznie chciało zgwałcić *Słowo*, nie potrzebowałaby „zgniatać warchołów.“ Jest to dziś jedyny człowiek, który może wyprowadzić pomnik z labiryntu intryg, protekcyi, służalstwa, głupoty i skandalu.

A kto rozwiąże węzeł funduszu na powodzian, spoczywającego bezużytecznie u p. Goldstanda? Przed kilku miesiącami podnosiliśmy tę sprawę—ale głos nasz nie odbił się w prasie tutejszej żadnem echem. Od tego czasu zarówno *Prawda*, jak inne pisma złożyły nowe ofiary. Ponieważ nikogo to nie obchodzi, że ileś tam tysięcy rubli leży w kasie prywatnej dla powodzian, których oddawna niema, więc tylko prosimy naszych czytelników, ażeby nie marnowali pieniędzy i nie przysyłali nam ich na ten cel. Ponawiamy tę prośbę, gdyż znowu w ostatnich dniach odebraliśmy kilkadziesiąt rubli. A gdyby też p. Goldstand zechciał łaskawie napisać w tym przedmiocie objaśniający artykuł? Może on coś wie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wielkie przedsięwzięcie, czyli walka z monopolem. — Szlachcic po stracie dochodów i cierpliwości. — Spółka akcyjna gorzelników. — *Respice finem*, a mniejsza o rynki nad morzem Śródziemnem. — Źródła nafty krajowej i nasi Noble. — Mur przeciw Szmulowiznie. — Surowość włościan i skuteczny sposób wypłaszania wierzycielek. — Teatr polski dla żydów.

Walka z monopolem! Fakt pierwszorzędnej wagi! Łączność tworzy siłę! Takie i tym podobne okrzyki wyrzucono w powietrze na cześć zbiorowej odezwy ziemian, ogłoszonej w dodatku do *Słowa* a zapowiadającej złamanie potęgi kilku kupców i destylatorów warszawskich, panujących nad — okowitą.

Szlachcic polski zaczyna się buntować—ekonomicznie. Dopóki miał swoją rentę, mógł utrzymać jedną lub kilka „czwórek,“ jeździć za granicę, wyprawiać bale i „zadawać szyku“ w Warszawie—mało dbał o to, że go ssie żyd, fabrykant, handlarz i wszyscy święci kapitalizmu. Ale gdy źródła dochodu zaczęły wysychać, gdy na czwórki, bale i szyki zbrakło środków a na zboże—kupców, dotąd spokojnie znoszący wszelkie operacye tłusty pacyent zawołał: basta, schudnąć nie chcę i okrawać się nie pozwolę! Z tej decyzyi, połączonej ze strachem, narodziło się „uznanie potrzeby“ rozmaitych zmian w systemacie gospodarczym i wypłynął ciągle rosnący prąd przemysłowy. Cukier, cykorya, chmiel, wojłok — najrozmaitsze produkty weszły do herbów odrodzonego szlachectwa i ujawniły rozbudzoną energię.

Dowodem jej jest wspomniana wyżej odezwa. Oprócz przemytnictwa, gnębi produkcyę gorzelniczą samowola kupców i destylatorów warszawskich, którzy ustanawiają ceny i sposoby mierzenia okowity. Dotąd szlachcic godził się z tą zależnością, ale teraz, przyciśnięty biedą, postanowił ją zerwać. W tym celu grono ziemian i właścicieli gorzelni wystąpiło z projektem zawiązania szerokiej spółki akcyjnej, do której właśnie zaprasza wszystkich towarzyszów niedoli. Zamierzają oni: 1) urządzić w Warszawie i, jeśli można, w innych miastach składy, do których stowarzyszeni dostawiać będą swoją okowitę; przyjąwszy ją na skład, spółka przedewszystkiem uwolni producenta od natychmiastowego płacenia akcyzy, poręczając ją odpowiednim zastawem pieniężnym, dalej da mu niemal wyrównywające wartości towaru zaliczenie, a wreszcie zajmie się sumiennie komisową sprzedażą; 2) ponieważ znaczna część okowity polskiej wysyła się za granicę, przyczem przechodzi przez wiele rąk, zanim dostanie się do zakładów oczyszczających (rektyfikacyjnych), a stąd do Francyi, Hiszpanii, Włoch, Turcyi i Afryki — przeto spółka zajmie się ułatwieniem wywozu i usunięciem pośrednictwa przez otworzenie własnych zakładów oczyszczających i zawiązanie bezpośrednich stosunków z konsumentami czystego spirytusu. W przedstawiającej ten program odezwie znajdujemy nawet próbkę przebiegłości handlowej wielkiego stylu. Czytamy w niej bowiem, że chwila obecna jest nader dogodną dla takiego przedsiębiorstwa, gdyż właśnie skutkiem traktatu, zawartego między Niemcami a Hiszpanią, powstał pewien zamęt (!) w stosunkach handlu okowitą na rynkach, sąsiadujących z morzem Śródziemnem; jeżeli więc spółka zawiąże się dosyć prędko (400 akcyj po 750 rs. każda), będzie mogła zająć tam opróżnione targowiska i przy staranności utrzyma się na nich.

W całym tym rozmachu cenimy tymczasowo tylko dobrą wolę, stosując konieczną i roztropną regułę: *respice finem*. Widzieliśmy już bowiem spółki, zawiązywane z wielkim zapałem, przyjmowane w prasie z wielkimi honorami i... zmarłe przed narodzeniem. Na śmiały rzut starczy nam energii zawsze, na wytrwałą pracę rzadko. Że wprzód ustąpi „zamęt“ w stosunkach handlowych nad morzem Śródziemnem, niż projektowana spółka zajmie tam rynki, o tem ani wątpię; ale oby ona kiedykolwiek wyszła ze *Słowa* i stała się ciałem.

P. Popiel z Wojczy (w Stopnickiem) najprościej wybrnął z obecnego przesilenia i wcale nie potrzebuje myśleć o zdobywaniu rynków nad morzem Śródziemnem. Przed kilku laty znalazł on w swym majątku naftę i dla wydobywania jej zawiązał spółkę. Długo wszakże ziemia sączyła płyn skąpo. Dopiero przed kilku tygodniami, po wyjęciu świdra z jednego szybu, właściciele kopalni doznali uczuć Izraela, gdy Mojżesz uderzył laską w skałę: nafta trysnęła tak obficie, że w przeciągu 12 godzin zebrano jej około 400 garncy. Wszystkie szyby wydają obecnie około 1.000 garncy, a ponieważ spodziewane są jeszcze inne źródła, w Wojczy zatem stanie dystylarnia nafty krajowej. Mamy więc polskich Noblów! Życzę im powodzenia nietylko z pobudek patryotycznych, ale także pod wpływem nadziei, że może

złamią straszny, gorszy od wódczanego monopol, który nas zmusza do kupowania za drogie pieniądze produktu lichego, przeklętego przez płuca, wdychające zabójczy kopeć.

„Akademia złodziejska“ — jak nazywa Szmulowiznę (przedmieście Warszawy) *Kuryer codzienny* — łamie coraz zuchwalej kłódki i zamki wagonów kolei w. petersburskiej, które również uważa za więzy monopolu. Ponieważ ani dzienne słońce, ani nocni stróże nie mogą odstraszyć rabusiów, więc zarząd drogi postanowił odgraniczyć stacyę od Szmulowizny... wysokim murem na przestrzeni 110 sążni. Doprawdy ta nasza walka ze złodziejami tryska nieraz szczerym humorem. 110 sążni wysokiego muru musi zbudować stacya pod największem miastem kraju dla zabezpieczenia się od złodziei — to paradne! Ale jakie to zarazem smutne! Z gub. wileńskiej donosi nam korespondent, że włościanie, zwykle pobłażliwi dla pewnych przestępstw, jako przysięgli wydają wyroki bardzo surowe. Jeden z nich, zagadnięty, czemu srogo ukarali złodzieja kilkudziesięciu funtów słoniny, rzekł: „Czy u nas tak mało złodziejów, ażebyśmy tego mieli zostawiać? Ja panu pokażę w naszej wsi dziesięciu takich samych, a jeszcze parę dziesiątków młodzieży, która oczekuje tylko końca naszych sądów, ażeby dowiedzieć się, czy śmiało może praktykować tak łatwe i korzystne rzemiosło, jakim jest kradzież.“

Tenże korespondent przesyła nowelistom następujący, ale już weselszy obrazek. W pewnem miasteczku młody człowiek, trudniący się kształceniem młodego pokolenia, został dłużnym biednej żydówce, sprzedającej tytoń i cukierki, 15 rs. Nagabywany przez nią kilkakrotnie na ulicy wykręcał się. Nareszcie wierzycielka jednego dnia udaje się z egzekucyą do mieszkania dłużnika, który przysięga, że jest „goły,“ a gdy nie zbudził wiary, zrzuciwszy surdut itd. — okazuje to dowodnie... „Ja nie *pospiała* i odwrócić się — opowiadała potem — a *un* już stał przede mną bez...“ Sposób poskutkował, a nieboszczyk Brzuchomówca Kosiński byłby go z pewnością użył, gdyby jego wierzyciele byli rodzaju żeńskiego. On biedak musiał, dla ostraszenia ich, kłaść się aż do trumny!

Czem izraelitów naszych na prowincyi odstrasza teatr polski, a przyciąga żydowski? Na to pytanie, z powodu artykułu *Gazety kieleckiej*, powtórzonego w *Prawdzie*, odpowiada w liście do nas p. Z. Pł. z Charkowa następującem rozumowaniem.

„Wyrugować ze sceny żargon mogłyby tylko polskie utwory dramatyczne, poczerpnięte z życia żydowskiego. Teatr polski dla żydów nietylko miałby wielkie znaczenie moralne, ale przyczyniłby się do spolonizowania ich.“ Autor wkłada ten obowiązek na oświeceńszą klasę izraelską i jej młodzież, wykazując obu tym żywiołom wdzięczne pole pracy. Ciemna masa słucha chętnie przedstawień w swym żargonie, nietylko dlatego, że go rozumie, ale dlatego również, że one jej ukazują obrazy własnego życia, których w teatrze polskim nie znajdzie.

Uwaga słuszna.

A. C.

Piotrków zyska szkołę niedzielno-handlową, w której wykładane będą: język polski, rosyjski, niemiecki, arytmetyka, buchalterya, geografia i korespondencya. Kurs nauk czteroletni.

— Gubernator polecił naczelnikom powiatów, policmajstrom i prezydentom zrewidować w całej gubernii chedery. Z 40 tych nor tylko 15 okazało się w części odpowiednich przeznaczeniu.

Dąbrowa górnicza. Zarząd zakładów górniczych rządowych ogłosił na 23 marca licytacyę na sprzedaż po zniżonych cenach 50,000 pudów cynku i 30,000 blachy cynkowej. Obniżkę tę wywołał obecny zastój w przemyśle i handlu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 12 marca.

W księdze, zawierającej akty dyplomatyczne, Anglia ogłosiła kilka sprawozdań swego posła w Berlinie, z których wynikało, że Bismark doradzał jej zabranie Egiptu i ofiarował przymierze, a nie uzyskawszy go, zwrócił się do Francyi. Ujawnienie tych sprawozdań ubodło go mocno, gdyż rzucało cień na jego przyjaźń bezinteresowną względem sąsiadki, do której się zaleca, i na zawód „uczciwego meklera.“ Jakkolwiek tedy kanclerz nie zwykł wtajemniczać parlamentu w swoje roboty dyplomatyczne, wystąpił przed nim z mową, w której ostro skarcił gabinet angielski za kłamstwo i niedyskrecyę: kłamstwem miało być doradzanie owładnięcia Egiptem, a niedyskrecyą drukowanie rozmów poufnych. Przeciwnie — dowodził Bismark — wielokrotnie nagabywany dałem radę przeciwną, której słuszność sprawdziła się — w Chartumie. Można było sądzić, że gabinet londyński uczuje się obrażonym. Tymczasem lord Granville natychmiast w swoim parlamencie przeprosił Bismarka za „nieporozumienie“ i objawił szczerą gotowość do przyjaźni, a gdy jednocześnie odwiedził go syn kanclerza niemieckiego, telegraf rozniósł wiadomość po Europie, że różnice zapatrywań zostały „wyrównane“ i że obecnie między Anglią a Niemcami panuje święta zgoda. Co to znaczy być postrachem i jak to nietylko na pewnych ludzi, ale i na pewne gabinety skuteczny wpływ wywiera szpicruta.

Owocem tego uścisku, a raczej upokorzenia miało być odsunięcie się wojsk rosyjskich od Afganistanu—według jednych doniesień, a posunięcie się dalej — według innych. To też sprawa zatargu rosyjsko-angielskiego pozostaje dotąd niewyjaśnioną. Nie wiadomo: czy nad Heratem wisi groźna chmura, czy pogodna tęcza.

Ale za to wszystkie dzienniki głoszą, że owa chmura, która zawisła nad prawicą i gabinetem hr. Taaffego, po mowie Dunajewskiego, zniknęła a na jej miejscu zajaśniała świetna gwiazda.

Prawica znowu zjednoczona, oparty na niej rząd silny, a centraliści spuścili na dół bagnety i nosy, które trzymali w górze, gotowi do zdobycia władzy wobec rozbitej większości parlamentarnej.

Na tej pogodzie skorzysta Galicya, a właściwie jej rzeki.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych rozesłał okólnik, w którym przyrzeka trzymać się dobrych tradycyj rządzenia krajem, wykorzeniać nadużycia itd.

Jeśli istotnie zechce zająć się oczyszczeniem Augiaszowej stajni, będzie miał większą robotę, niż Herkules.

Cóż wojna w Chinach i Egipcie? Oddziały francuskie i angielskie posuwają się, koncentrują, zamierzają coś zdobyć lub zdobywają — a koniec jednej i drugiej szarpaniny jak był daleko, tak pozostaje.

Berlin. Przy trzeciem czytaniu budżetu pewna część postępowców namyśliła się, pewna część katolików nie przybyła, więcej konserwatystów ściągnięto — i ostatecznie ks. Bismark otrzymał 20,000 m. na drugiego dyrektora w ministeryum spraw zagranicznych, którego mu Izba w grudniu odmówiła.

New-York. Między Gwatemalą a Nikaraguą wypowiedzianą została wojna, skutkiem dążeń prezydenta pierwszej do zjednoczenia państw środkowej Ameryki w jedną rzeczpospolitę.

CUDZE GŁOSY.

Matejko ogłosił następujący list do komitetu konkursowego, będący jednocześnie objaśnieniem jego projektu.

„W chwili decydującej, by nie być posądzonym o pychę, a dać wyraz własnych pojęć o ważności chwili i zadania, zwracam się do was, delegowanych wyborców, z różnych stron kraju zebranych. Nie przesądzam sił naszych artystycznych, ale i nie przeceniając tychże, wobec nieszczęśliwej myśli przybrania sił zagranicznego sądu, przez nikogo nie wezwany, a owszem przy pierwszym konkursie pominięty, nie wchęci, ani myśli być sądzonym przez *obce nam znakomitości*, ale z poczucia obowiązku bronienia godności narodowej, tudzież z konieczności użycia wszystkich sił intelektualnych w narodzie, które samodzielność naszą wytworzyć i stwierdzić mogą, przesyłam kilka słów objaśniających szkic projektować się mającego pomnika dla Adama Mickiewicza. Każdy poczuje w sobie cząstkę *geniusza narodu*, kto uczciwie spełnia zadanie swoje i święci, czy zasługą, cnotą, lub pracą, bodaj codzienną, jeżeli one oświecone *kagańca światłem* do Boga wiodącem... Zgodzi się wtedy na ścianę silnie zbudowaną, z czterech warstw kamieni: Pracy, Wytrwałości, Cierpliwości i Poświęcenia, która usiłowania cnót narodowych postaciowane kreacyami pana Tadeusza, Zosi, Jankla, Klucznika, Robaka, Podkomorzego, Hrabiego, Maćka, Sędziego, Telimeny, Wojskiego, ubezpieczyć może. Sarkofag nie wróci na dawne posady sześciu kardynalnych grzechów narodu: Nierządu, Zdrady, Hipokryzyi, Niezgody, Przedajności i Opilstwa. Dla zrównoważenia win trzy pierwsze charakteryzować się mają rysami trzech historycznych postaci, biorących udział w nieszczęśliwych wypadkach kraju. Porysowaną budowę kraju podpierają trzy skarpy: Sejmu czteroletniego, Komisyi edukacyjnej i ustawy z r. 1792. Ścianę przodową strzeże Ostrobramskiej Panny wizerunek w kole. U stóp tejże wywoływanie duchów w „Dziadach.“ Mickiewicz jako bard z lirą a sową na oparciu siedzenia nieci ogień *z urny starosłowiańskich popiołów*. Przelękły, obnażony chłop ciśnie w lewej dłoni „Odę do młodości,“ prawą osłania wzrok przed zmartwychwstałym Piotrowinem, kryjącym swą nagość łachmanem dawnej wielkości. Trzy postacie: „Konrada Wallenroda“ z ręką na głowni miecza, lewą nogą na szyszaku i deptanym płaszczu krzyżackim; z palcem na ustach, a dobytym mieczem, milczkiem sunącej z miejsca Grażyny, i ks. Marka, w modłach zatopionego, stoją z kończyn trzech ramion krzyża, podstawy całego pomnika, który atoli woda zamyka basenem zdobionym, figurami: Niemna, Willi, Sonetów, Świtezi itd. Na odwrotnej stronie trzonu pomnika napisy i tytuły dzieł stworzonych, zaś czwartą kończynę krzyża, wzniesioną nieco, zdobi orzeł, ścielący skrzydła do stóp Mickiewicza, który trzyma otwartą księgę z kursem „Literatury słowiańskiej,“ a pod księgą złożone: Pióro, Szczerbiec i Bolesławowska korona. Na schodach napis: „Milion jestem.“ Kraków, dnia 28 lutego r. 1885.“

Zdaje nam się, że dobrego byłoby tu za dużo: i cnoty, i postacie, i urny, i tytuły, i Szczerbiec, i korona — całe muzeum!

Gazeta polska, odpowiadając *St. Pet. Wiedomostiom*, twierdzącym, że rosyanie „nie okazują nienawiści *narodowi* polskiemu,“ lecz osobom lub stronnictwom, polaczy zaś postępują przeciwnie, że wzniósł się „mur chiński“ — tak pisze:

„Tak jest, ów mur chiński między dwoma narodami istnieje rzeczywiście,—trzeba to sobie powiedzieć bez wszelkich optymistycznych złudzeń i chęci obwijania prawdy w bawełnę. I nie

wyrósł z pod ziemi, jak grzyb, w ciągu nocy, lecz starannie budowano go oddawna. I nie jest to jakaś licha przegródka, którąby lekkiem pchnięciem zwalić było można, lecz ściana fundamentalna, bardzo trudna do przełamania.

Z szaloną wrzawą, z niczem niedającą się usprawiedliwić zaciekłością budują go pp. Suworiny, Pichny, Ruskie-Stranniki, Mołczanowy, oraz inni—zarówno pisarze z talentem, jak i bazgracze płascy, konserwatyści, słowianofile i liberały, ludzie poważni i nieudolni reportery... Umysły rozsądniejsze, steroryzowane przez hecarzy, próbują czasem wprawdzie rzucić w tłum rozżarty ostrożne słowo perswazyi,—ale głos ich wnet zostaje zagłuszony, wyśmiany, lub napiętnowany bywa, jako przeniewierstwo. Czyż podobna więc dziwić się, że polacy, słysząc zewsząd same potwarze i zniewagi, dochodzą nakoniec do wniosku, iż jest to jakaś obława powszechna, w której walczy z tem wszystkiem, co polskie, to wszystko co, jest rosyjskiem? Za cud raczej poczytywaćby należało, gdyby mur chiński nie rozdzielił na długo, na bardzo długo »dwóch pokrewnych narodów...“

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia radzi, ażeby przywilej nabywania majątków w kraju zachodnim nadano również katolikom, którzy przyjęli prawosławie.

„Przypuśćmy—powiada p. Strannik—że osoby takie rzadko są szczeremi, lecz doświadczenie wskazuje, iż ich dzieci i wnuki wciąż się stają szczerymi synami cerkwi swojej i ojczyzny.“

W końcu autor zaleca, ażeby obok znanego ukazu przedsięwzięto „jeszcze rdzenniejsze środki dla zrosyjszczenia kraju.“

Dniewnik warsz., objaśniając list, przesłany mu przez jakiegoś „Wilnianina,“ powiada:

„Dowodzenie wszakże korespondenta, że masa ludności wileńskiej nie rozumie języka rosyjskiego, jest mało prawdopodobnem. Biskup Hr. przemawiał do ludu po polsku nie dlatego, żeby go nie zrozumiano inaczej, lecz dlatego, że chciał zaświadczyć tym faktem, iż Wilno jest miastem polskiem; mówił z ludnością wileńską nie jako sługa ołtarza, nie jak biskup rzymsko-katolicki, lecz jako agitator polski, i tem właśnie dowiódł, że zesłanie go było sprawiedliwem i koniecznem. Nikt nie żąda od biskupów Królestwa Polskiego (zawiślańskiej jego części), żeby mówili z ludnością miejscową po rosyjsku. Lecz w Wilnie, w kraju zachodnim, rzecz zupełnie inna, tam używanie publicznie mowy polskiej, używanie jej na ulicy, przez osobę urzędową, jest nietylko formalnem naruszeniem prawa, lecz hardą demonstracyą, którą pozostawić bezkarnie byłoby chęcią wyzwania powtórzenia się r. 1862. Nic podobnego nie pozwalał sobie nawet sam b. arcybiskup warszawski Feliński; agitował on w kościele, lecz nie na ulicy.“

Berlin. Tageblatt tak rozumuje (według *Gaz. polsk.*).

„Polacy nie kochają niemców—oto pierwszy zarzut, który im robią. Czyż jednakże niemcy dali kiedykolwiek dowody, że kochają polaków? Zaiste, nie wiemy o tem. Przeciwnie, powiedzą polacy: niemcy nienawidzą nas, bo dopomogli nasz kraj podzielić, a dlatego i my ich nienawidzimy. A jeżeli polacy tak mówią, któż im to może brać za złe? Toruński urzędnik regencyjny—(autor *Kwestyi polskiej w stosunku do Prus i cesarstwa niemieckiego*) ma im to przecież za złe, uważa w tem jakąś szczególną ich niegodziwość, zbiera z polskich czasopism i dzienników mnóstwo ustępów, w których się manifestują objawy owej ku niemcom nienawiści. Naturalnie, my, niemcy, nie czytamy tego z przyjemnością—ale, jeżeli *alzacki* poseł Dolfus może mówić o „przeklętej aneksyi swego kraju rodzinnego,“ jakiemże prawem możemy wymagać od *polaków* innych objawów i oświadczeń? Polska nie przyszła do nas dobrowolnie, ale my zabraliśmy ją gwałtem. Jeżeli polacy tego zapomnieć nie mogą i nie chcą—czyż ma to być dla nich rzeczywiście zarzutem? Cokolwiekbądź—nie czują się przecież niemcami, lecz polakami, a to ich narodowe poczucie jest samo przez się niemniej poszanowania godne od naszego. Czy my, niemcy, zgodziliśmy się z losem naszym, gdyśmy prawie zupełnie byli pobici przez potęgę napoleońską? Przeciwnie—wyzwoliny się z pod tego panowania święcimy jako czyn narodowy. Cóż jednak pomoże, iż zamykamy oczy na to, że i polacy nasze panowanie za obce uważają? Czynią to przecież—jest to faktem—z którym nam się liczyć wypada.“

A wiecie jaki wniosek z tego wywodu? Niemcy powinni polaków wytępić. Rzeczywiście dla takiej logiki trzeba się urodzić prusakiem.

Dniewnik Warszawskij donosi:

„*Graždanin* oznajmia, że przed odjazdem z Wilna Hryniewiecki nietylko wyznaczył następcę, ale wydał coś w rodzaju manifestu, w którym na wypadek mianowania innego następcy, aniżeli ten, kogo on wyznaczył, uwolnił dyecezyę od obowiązku posłuszeństwa i wyklął tego, kto przyjmie wybór. Obecnie — według słów *Graždanina* — ów następca Hryniewieckiego (ks. Harasymowicz) wezwany został do Petersburga i ponieważ z odpowiedzi jego rządowi, okazało się, iż jest jednego sposobu myślenia z Hryniewieckim, musiał więc podzielić jego los i wysłany został na spoczynek do miasta Welska w gubernii wołogodzkiej.“

Toż samo pismo przytacza opis dwóch faktów, malujących jakoby szkodliwy wpływ biskupa Hryniewieckiego na podwładne mu duchowieństwo:

„W miasteczku W—wie ks. R—ski odmówił pewnej kobiecie wywodu (wprowadzenie do kościoła po połogu), ponieważ ośmieliła się wyjść za mąż za syzmatyka, tj. prawosławnego. Ten sam ksiądz, pewnej niedzieli, wszedłszy za ambonę, zwrócił się do swej rzeszy i głośno rozkazał wszystkim uklęknąć. Wszyscy uklękli. Wtedy ksiądz R—ski wygłosił następujące, krótkie, ale dobitne przemówienie. „Módlcie się wszyscy za straconą duszę. W ciągu zeszłego tygodnia, wbrew moim radom, włościanka N. N. wyszła za mąż za syzmatyka; dusza jej przeznaczona jest do piekła i zbawić ją mogą tylko wasze gorące modlitwy.“

Drugiemu faktowi waha się wierzyć sama gazeta:

„Do pewnego włościańskiego domu, w którym wskutek mieszanego małżeństwa znajdowali się prawosławni i katolicy, przychodzi ksiądz, dla spełnienia jakiegoś religijnego obrzędu, do którego potrzebną mu była woda święcona. Zwracając się do gospodarza, zapytał: „Czy jest woda święcona?“ Gospodarz odpowiedział: „Jest, księże proboszczu, z Jordanu, jak *batiuszka* święcił, wtedy przynieśliśmy,“ poczem podał butelkę z wodą, poświęconą przez batiuszkę, tj. księdza prawosławnego. Ksiądz wziął wodę i kazał całej rodzinie iść za sobą. Wyszedłszy na podwórze zapytał: „Gdzie jest chlew świński.“ Gospodarz wskazał. Wtedy ksiądz wszedł do chlewu, wylał z butelki święconą wodę na leżące tam świnie i rzekł: „Woda poświęcona przez popa odpowiednią jest tylko dla świń.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Dość żywe zajęcie obudziły występy p. Maryi Pospiszylówny, artystki teatru narodowego w Pradze; odtworzyła ona role Cypryanny w komedyi Sardou *Rozwiedźmy się*, oraz Małgosi, czyli po czesku Marketki w *Fauście* Gothego. W pierwszej roli brak było p. P. trochę dystynkcyi, ale grała z wielką werwą i prawdą—w drugiej umiała połączyć realizm z tragicznością. Jestto artystka niepoślednie] miary, dlatego też o kilku jej występach razem podamy treściwą ocenę.

Protesty przeciwko wyrokowi w sprawie pomnika dla Mickiewicza brzmią:

Od kilku redaktorów warszawskich: „Zaniepokojeni ogólną opinią, potępiającą wyrok jury, protestujemy i żądamy w imieniu ofiarodawców nietykalności sum, złożonych przez nas komitetowi budowy pomnika Mickiewicza, aż do czasu naszego upoważnienia.“

Od uczniów Szkoły sztuk pięknych (Matejki): „*Czas* potępił nasz protest w sprawie konkursu na pomnik Mickiewicza. Ogólne oburzenie kraju niech za nas odpowie. Ale zaznaczyć niestety musimy, że ludzie „na stanowisku,“ jak zwykle, znowu nie wytrzymali próby i spaczyli piękną myśl narodową ze względów pobocznych—ludzie, którzy powinni być naszym wzorem! Jeżeli pomnik Mickiewicza stanie kiedyś, będzie to dziełem młodzieży; jeżeli godnym narodu i wieszcza nie będzie, mamy prawo zapytać: co z uczuciem i wdowim groszem narodu zrobili ci, którzy biorą przywilej rozporządzać własnością ogólną, bez względu na wolę ogólną?!“

Dyskrecya. Na kwestyonaryusz w przedmiocie kosztów produkcyi rolnej, Towarzystwo przemysłu i handlu odebrało podobno 30 kilka odpowiedzi; na inny zaś dotyczący drobnego przemysłu wiejskiego, a rozesłany w 781 egzemplarzach, otrzymało 88 odpowiedzi. Przyznajmy, że nasza prowincya jest dyskretną i nie zdradza swych tajemnic ekonomicznych.

Niekarność. Na wielu studniach Warszawy, których wodę uznano za szkodliwą, umieszczono ogłoszenie: „Woda niezdatna do użycia wewnętrznego.“ Mimo to ludność używa trucizny, bo nie ma czego innego. Jest to... niekarność. Właściwie na wszystkich domach należałoby przylepić ogłoszenie: „tu nie ma wody.“ Ciekawa rzecz, na co się zdadzą wszystkie komisye sanitarne i środki przeciw cholerze, jeśli Warszawa nie będzie miała wody?

Komitet konkursowy w sprawie pomnika dla Mickiewicza zaczyna myśleć podobno o spoczęciu na zdobytych laurach i ustąpieniu miejsca innemu. Lepiej późno, niż nigdy, a żal za grzechy znosi je.

Zakaz. Osobom wyznań niechrześciańskich zabroniono trudnić się wyrobem i handlem przedmiotów religijnych chrześciańskich.

Właściciele ziemscy, którzy wnieśli zażalenie do władz wyższych, przeciw nałożonej na nich karze podatkowej (według oszacowań Towarzystwa kred. ziem., zastosowanych przez Izby skarbowe) zostali uwolnieni od egzekucyi z tego tytułu.

Muzyka. Koncert na dochód uczniów Szkoły weterynaryjnej, zwabił niewielką liczbę słuchaczów, bo nie miał silnej żadnej przynęty. Po przedstawieniach z Modrzejowską, Mierzwińskim, Popiel-Święcką, sama p. Wisnowska nie mogła wystarczyć.

— Z dwoma koncertami wystąpiła w Teatrze p. Menter.

Kara prasowa Gazecie petersburskiej *Echo* zabroniono umieszczać prywatnych ogłoszeń przez 8 miesięcy; wydawnictwo skutkiem tego zawiesiło się.

P. Rogoziński, według dzienników niemieckich, siedzi w Afryce i rozszerza posiadłości angielskie; według zaś wiadomości od jego kuzyna (*Kur. codz.*) aresztowany w Hamburgu.

W kopalniach karwińskich, na Szląsku, skutkiem wybuchu przez niewłaściwe założenie dynamitu, zginęło 110 górników. Straszna żałoba okryła rodziny robotnicze.

Rękopisy cenne z w. XVI, XVII i XVIII, między innymi ks. Dąbrowskiego *Dyaryusz wojny szwedzkiej za Jana Kazimierza* miano przypadkowo znaleść przy restauracyi w bocznej ścianie kościoła w Wielgomłynach w Piotrkowskiem.

Prof. Maspero, dyrektor egipskiego muzeum w Bulak, znakomity egiptolog, odnalazł stary rękopis koptycki o 20 stronicach.

Papież otrzymał nader cenny w swoim rodzaju dar od lorda Ashburnham, mianowicie szereg listów Innocentego III z lat 1207 do 1209.

Zestawienie literatury o *Fauście* od 16 wieku do połowy r. 1884 wydaje W. Engel w Oldenburgu. Dzieło obejmuje 50 ark. druku a około 2800 tytułów.

Spuścizna Makarta. Licytacya dzieł sztuki pozostałych po Makarcie rozpocznie się stanowczo 20 marca. Przez tydzień wszystkie rzeczy wystawione będą w mieszkaniu zmarłego artysty na dochód pozostałych sierot. Oszacowano całą spuściznę na 173,000 złr., z czego 70,000 przypada na obrazy i szkice a reszta na zbiór starożytności, gobelinów, broni itd. Spodziewają się jednak, że licytacya przyniesie sumę o wiele wyższą, która złożoną zostanie do sądowego depozytu. Trzy czwarte przypadnie dla dzieci, jedna czwarta zaś należy się wdowie jako dożywocie.

Dar cenny otrzymała biblioteka Akademii umiejętności w Krakowie od p. Kornelii Marszałkiewiczowej, wdowy po Maksymilianie M., mianowicie jego cały

księgozbiór, złożony z kilkunastu tysięcy tomów dzieł treści historycznej i literackiej, przeważnie polskich autorów.

Komisya historyczna Akademii umiej. w Krakowie postanowiła wysyłać co roku kilku członków swoich w podróż zagraniczną dla zbadania obcych archiwów, kryjących obfite skarby dla dziejów polskich. Na ten cel wyznaczono stałą sumę 1000 złr. rocznie. W lecie i jesieni r. b. udać się mają: dr. Abraham do archiwów watykańskich w Rzymie, prof. dr. Zakrzewski do archiwum miejskiego w Gdańsku.

Dr. Władysław Niegolewski, b. poseł z Wielkopolski i obrońca jej w sejmach pruskich, jak donosi *Kuryer pozn.*, od dłuższego czasu jest ciężko chory. Napaści dzienników w czasie ostatnich wyborów miały sprawić na nim tak silne wrażenie, że sprowadziły silną niemoc. Obecnie lekarze nie mają już nadziei uratowania go.

Kantecki Kl. bibliotekarz i konserwator zbiorów muzealnych Towarzystwa przyj. nauk w Poznaniu, chory od wielu miesięcy, podał się do dymisyi. Towarzystwo poznańskie ponosi przez ten ubytek wielką stratę.

Pomnik Waszyngtona odsłonięto uroczyście 21 lutego w Waszyngtonie. Mimo niesprzyjającej pogody zebrały się na tę uroczystość tłumy ludzi. Dla utrzymania porządku wyruszyło 6,000 żołnierzy pod dowództwem generała Sheridana. Pierwszą mowę wypowiedział senator Sherman, drugą inżynier Casey, który wykończył budowę pomnika. Pomnik w kształcie obelisku jest najwyższym na świecie, ma bowiem 555 stóp wysokości. Podstawa 550 stóp w kwadracie. Kamień węgielny położono 4 lipca 1848. Budowa wymagała 82,000 ton granitu i kosztowała 1,187,000 dolarów. Wewnątrz znajdują się żelazne schody i winda parowa. Ze szczytu widać okolicę na 20 mil naokoło.

Archeologiczne odkrycia na Bukowinie. Dzienniki tamtejsze donoszą o licznych odkryciach archeologicznych p. Józefa Guttera, konserwatora starożytności na Bukowinie. Od lat 28 zbiera on skwapliwie starożytności w tym kraiku i jest pierwszym założycielem muzeum archeologicznego w Serecie. Tam właśnie poczynił on w najświeższych czasach obfite odkrycia.

Akademia umiejętności w Paryżu obrała członkiem korespondentem wydziału mineralogii Prestwicha. Przy głosowaniu otrzymał Domeyko 17 głosów.

Papież Leon XIII obchodził 20 lutego siódmą rocznicę swych rządów. Przy tej sposobności wręczył każdemu z kardynałów egzemplarz dzieła, wydanego własnym kosztem p. t. *Sztuka kobierców i nowa galerya gobelinów w Watykanie.* Dalej pokazał każdemu z kardynałów kobierzec, który sam w Watykanie odnalazł a na którym znajduje się obraz kardynała Fleury, wykonany haftem.

200-letnią rocznicę urodzin Haendla obchodzono nader uroczyście w jego mieście rodzinnem Halli: 22 lutego wykonano w kościele *Te Deum* jego kompozycye, a wieczorem w sali koncertowej 3-aktowe oratoryum *Herakles.* Następnego dnia odbyła się właściwa uroczystość na placu przed pomnikiem Haendla. Burmistrz wypowiedział mowę na cześć kompozytora, a orkiestra miejska zaintonowała chór *Seht, er kommt mit Preis gekrönt.* Wieczorem wykonano w kościele Panny Maryi wzniosłe oratoryum *Mesyasz.* Solowe partye wykonali śpiewacy i śpiewaczki z Drezna, Berlina i Frankfurtu.

Pomnik Lavoisiera stanąć ma niebawem w Paryżu, na placu Sorbony.

Björnstjörne Björnson, słynny pisarz szwedzki, od dłuższego czasu jest chory i według zalecenia lekarzy musi przebyć całe lato w Tyrolu lub w Szwajcaryi, poczem, jeżeli kuracya się powiedzie, zamierza powrócić do Paryża.

Marcelina Kochańska, po 6 obowiązkowych występach w Lizbonie, zaproszoną została jeszcze na cztery dalsze, podczas których publiczność niesłychane jej robiła owacye. Przed odjazdem otrzymała zaproszenie na wieczór do króla, gdzie śpiewała kilka pieśni i na żądanie monarchy grała także na fortepianie. Z Lizbony udaje się Kochańska na 8 występów do Madrytu a stamtąd do Wiednia, gdzie wystąpi 4 razy w nadwornej operze.

Seweryn Zamojski, znany artysta dramatyczny, po dłuższej chorobie popadł w taki rozstrój fizyczny i umysłowy, że musiał być oddany do zakładu obłąkanych w Kulparkowie (pod Lwowem).

W Eden-Theatre przedstawiono 23 lutego nowy balet trzyaktowy p. t. *Messalina* z ogromną wystawą. Balet ten, układu p. Denesi, z muzyką Giaquinta, dzieli się na 7 obrazów i jest rodzajem „tańczonej tragedyi.“ Wspaniały ma być obraz drugi, przedstawiający cyrk rzymski ze wszystkimi igrzyskami a nawet walką gladyatorów i obraz siódmy: Tryumf Kladyusza i Agrypiny na forum z widokiem Kapitolu. Tu odbywa się imponujący pochód, który zamykają ludy hołdownicze w swych malowniczych kostyumach. Muzyka ma być licha i psuje wrażenie; rzecz całą ratuje świetna wystawa i doskonały układ baletu.

Rodzina śpiewaków. Tenor Jan Reszke i brat jego Edward Reszke, basista, zostali skontraktowani do opery paryskiej, gdzie, jak wiadomo, od dłuższego już czasu występuje ich siostra panna Józefina Reszkówna. Nadto i najstarszy brat, który jest właścicielem dóbr w Królestwie, ma posiadać piękny głos tenorowy. Coś tak, jakby we Włoszech.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. B. z Pańskiej. Zatrzymamy.

F. Wiel. Niech Pani wprost się zwróci pod adresem: „Kursa żeńskie Bestużewskie, Petersburg, Siergiejewska 7.“

G. S. Wyczerpane.

J... Obie formy dobre, chociaż: *kłuję* i *pruję* lepsze.

F. J. w Paryżu. Jest rzeczą pewną, że niemcy kupowali od nas zboże, natomiast nie jest rzeczą pewną, czy na ciach zarobią; zresztą poznańczykom nie braliśmy za złe, że strzegli bliższej koszuli. „Ministerium“ nie jest wcale czystszą formą polską, niż „ministerstwo,“ zwłaszcza że mówimy np. gubernatorstwo. Nazwiska korespondenta bez jego upoważnienia wymienić nie możemy.

Gl. w Krakowie. W tym roku nie mamy już miejsca.

Z. A. Ż. Jest to suchy referat życiowy, spisany bez żadnego artyzmu.

Łucyi. Myśli obu wierszy rozumne, pojedyncze ustępy wyrażone ładnie—ale całość wadliwa. Zwłaszcza w drugim forma zupełnie zaniedbana.

L. H. „Próbka piórem“ słaba.

Józef. Cz. Wszystko to prawda, ale bez poezyi.

K. B. Niwie i Słowu o tych naszych „pachołkach“ coś opowiemy.

A-o. Po bardzo gruntownej przeróbce, praca pańska miałaby wartość.

OFIARY.

Dla biednych S. R. M. kop. 20, E. K. z Czyhiryna kop. 20, K. S. rs. 8 kop. 50, L. B. kop. 50, S. z Białej kop. 28.

Na wpis dla uczniów. S. K. kop. 50, Kolejowiec z Tomaszowa rs. 3, Jałowiecki z Zabajkalskiej Obłasti rs. 25, Zebrane na polowaniu 22 lutego w majątku O. za chybione strzały rs. 7 kop. 50.

Dla studentów warszawskich. Godyński z Mineralnych Wód rs. 5, M. S. z Białej Cerkwi rs. 1, Dr. Moniuszko rs. 1.

Dla studentek w Petersburgu. Baranowski z Symferopola rs. 1 kop. 50, Xy: z Płocka rs. 11, Jałowiecki z Zabajkalskiej Obłasti rs. 25.

Do rozporządzenia Redakcyi. J. Z. rs. 5.

Na Kasę Mianowskiego. Ksawery Baranowski z Symferopola rs. 5, Bohdan Rudnicki z Wydronuska rs. 5.

Na powodzian. Jałowiecki z Zabajkalskiej Obłasti rs. 50. (Ofiarodawca powiadomiony o nieistnieniu potrzeby dla takich składek).

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Марта 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.